ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



Janina Romanówna w „Kupcu Weneckim" Szekspira w Teatrze Polskim

Fot. J. Malarski

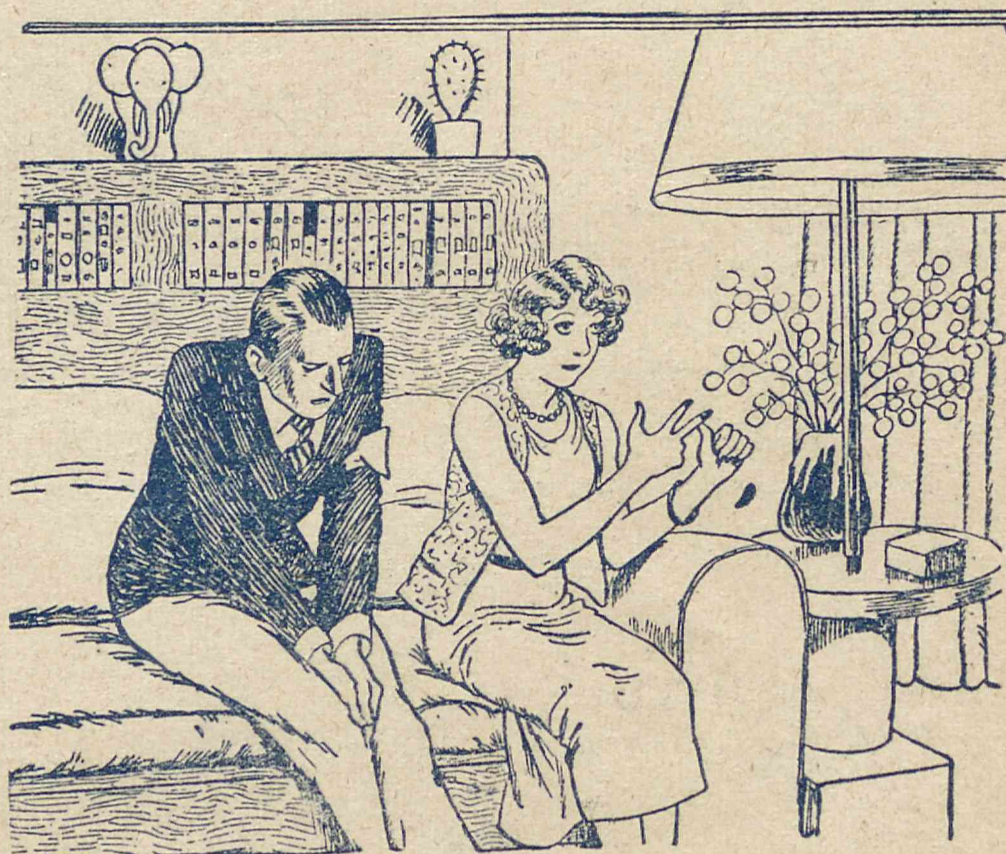
Nr. 10
10 MARCA 1934 R.

W numerze:



REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

MARZENIA O PRZYSZŁOŚCI.



ON. — *Ach, iluż rzeczy trzeba, żeby móc myśleć o małżeństwie...*

ONA. — *Co znowu!... Łóżko, wanna, i samochód... Żeby się przespać, wykąpać — i odjechać. To wystarczy!*

(Candide).

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 450.—, 1/2 225, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM LEONA CHRZANOWSKIEGO
ROK XXIX • NR. 10 • DNIA 10-go MARCA 1934 ROKU
(ZAŁOŻYCIEL STEFAN KRZYWOSZEWSKI)

L. CHRZANOWSKI

WRZENIE WE FRANCJI

Po utworzeniu gabinetu prezydenta Doumergue'a, który otrzymał miano gabinetu „du salut public", uspokojenie ogarnęło społeczeństwo francuskie. Niestety, uspokojenie to było bardzo krótkotrwałe. Już dziś wrzenie we Francji wzmogło się, a żywioły którym unja narodowa paraliżuje interesy partyjne, ożywiły się i akcję swą rozpoczęły nanowo.

Podniecenie rośnie, polemiki zaostrzają się, a partje zaczynają obrabiać wyborców z coraz większą demagogją, czując, że prezydent Doumergue może być zmuszony uciec się do środka koniecznego, do rozwiązania Izb.

Na tle ogólnego politycznego podniecenia, takie sprawy jak zamordowanie sędziego Prince'a, nie uspakajają opinji. Przeciwnie, groza, potępienie, a co najgorsze podejrzenia sypią się jak z rogu obfitości, potęgując zdenerwowanie i wrzenie.

To wrzenie dziś poszło po linji dość nieoczekiwanej, doprowadziło do konfliktu stolicy z prowincją Francji.

„Paryż przeciw prowincji" — oto hasło, pod którem stronnictwa lewicowe prowadzą dziś gwałtowną agitację. W tej akcji głównym atutem ma być zarzut, iż Paryż prawicowy, Paryż porwany przez byłych kombatantów, chciał uderzyć na instytucje republikańskie.

Prasa lewicowa, z socjalistyczną na czele, chwyciła ten atut i operuje nim w ciągu ostatnich dni nie bez zręczności.

Już pod adresem witanego niedawno jak zbawcę prezydenta Doumergue'a rzuca się mniej lub więcej wyraźnie oskarżenie, iż przewodniczy on „rządowi reakcji".

Radykałowie lewicowi szykują więc już zdradliwy podkop pod gabinet tego, którego przybycie położyło kilkanaście dni temu kres krwawym rozruchom.

Podkopem tym ma się stać zwołany do Clermont - Ferrand kongres stronnictwa radicaux-socialistes.

Na kongresie tym ma paść hasło odwołania ministrów radykalnych z rządu p. Doumergue'a.

Przyjaciele p. Daladier pracują, nie wsmak im, iż Herriot współpracuje z Doumerguem i Tardieu.

Jedyna możliwość odegrania się, to strojenie się w togę obrońców reżymu republikańskiego, któremu nikt w istocie nie zagraża. Aby w sposób jaskrawy przyszłym wyborcom podkreślić „reakcyjność" „union national" trzeba odosobnić Doumergue'a, odwołać ministrów Herriot'a i innych radykałów.

Trzeba ukarać rząd, który ośmielił się przerwać panowanie rządów kartelowych. Trzeba uniemożliwić umiarkowanemu skrzydłu radykałów partycypowanie w rządzie zjednoczenia narodowego, więc przyjaciele Chautemps i Daladier'a zwołują kongres, a o Doumergue'u puszczają wersje, że „jest za stary", jakby młodziankowie w rodzaju p. Frot'a — jednego ze sprawców masakry 6 i 7 lutego wykazali się zdolnością rządzenia!

Pochlebstwa partji radykalnej galopują ku wyborcy prowincjonalnemu, to on ma ocalić Republi-

kę zagrożoną przez „zgniły Paryż".

„Dissolution, dissolution!" — okrzyk ten wznosiły tłumy Paryża, piętnujące system skandali i widzące dokładnie winę parlamentarzystów, okrzyk ten dziś podchwyciły stronnictwa lewicowe — rzekomo w obronie zagrożonej Republiki.

Ale i tu jak zwykle skrajniejsi idą na front. Już dziś socjaliści dystansują radykałów. Już dziś, oni właśnie, mając dobrą organizację partyjną, wpływy wśród urzędników i robotników — już dziś zapisują sobie plusy. Pod tym względem taktyka przywódcy socjalistów zjednoczonych Leona Bluma jest bardzo zręczna. Gra już on pierwsze skrzypce w tej chwili, a tak niedawno, po rozłamie w partji, był zupełnie shandicapowany.

Dziś w razie wyborów — on będzie dyktatorem przy formowaniu



B. minister Frot

listy lewicowej. Jego woli, jego metodom, jego taktyce będą musieli podporządkować się radykaliści, nawet tak burżuazyjni jak multimiljonerzy w rodzaju p. Caillaux.

Organ Bluma — „Populaire" szeroko się rozwodzi nad niebezpieczeństwem faszyzmu we Francji. Tem urojonem niebezpieczeństwem straszy się wyborców, straszy się prowincję. Nie ulega jednak wątpliwości, że ten strach... o nieskazitelność Republiki może wyjść na dobre tylko socjalistom, a nie radykałom zdolnym do dmuchania na ogień i zdolnym do pieczenia pieczeni parlamentarnej, ale dziś już zupełnie pozbawionym nimbu zdolności rządzenia Francją.

Plotki kuluarowe przypisują tendencje i zakusy dyktatorskie zarówno p. Blumowi jak i Cot'owi — na razie strąconej gwieździe wschodzącej. Obaj oni żonglują hasłem antyfaszyzmu, obaj oni chętnie nazywają ruch kombatantów paryskich, idących na plac Zgody i pod pałac Burboński z okrzykiem „precz ze złodziejami", ruchem hitlerowskim! Obaj oni przymykają dziś oczy na aferę Stawiskiego, na zbiegłych lub podejrzanych wice i ministrów — obaj oni drżą na myśl, że kartel lewicowy stanął na krawędzi. Na krawędzi, z której uratować się może tylko jakąś sztuczką, która go przywiedzie znów do władzy.



B. premjer Daladier

Straszak faszyzmu, ten kartelowy „chory z urojenia" miał by być właśnie ową sztuczką, tym manewrem, co powali Doumergue'a (kto wie czy i nie Lebrun'a) i wróci cugle władcze w dłonie, które nieudolnością czy złą wolą skrwawiły ulice Paryża.

Kto wie jednak, czy w razie tego zwycięstwa nie ległby na laurach kartelu i frank francuski, tak świetnie oskubany przez ostatnie wydarzenia i deficytowe budżety.



Prefekt Paryża, M. Bonnefoy-Sibour

Bez parady i fanfary

Wśród osób specjalnie atakowanych przez prasę francuską umiarkowaną i lewicowo-centrową znajduje się b. minister spraw zagranicznych Paul-Boncour.

Paul-Boncour, niezwykle czuły na głos opinji, istotnie tym razem nie miał szczęścia. Był on od czasu Brianda „najstalszym" ministrem spraw zagranicznych. Po raz pierwszy zdecydowanie znalazł się po za burtą łodzi ministerjalnej w ostatnim gabinecie Daladier'a. To pominięcie Paul-Boncour odczuł bardzo żywo. W kuluarach parlamentu szeptano, że był to rezultat rywalizacji o tekę zagraniczną pomiędzy nim a Daladierem. Aliści fortuna już po trzech dniach zdawała się uśmiechać do b. ministra. Trzej ministrowie umiarkowani wskutek dymisji prefekta Chiappe'a — ustąpili. Nastąpiła rekonstrukcja gabinetu — Paul Boncour wrócił do teki, do swej dawnej teki ministra wojny. Na trzy dni przed masakrą b. kombatantów, na trzy dni przed upadkiem i runięciem fatalnem rządu Daladier'a.

W obecnym rządzie Doumergue'a tekę wojny objął marszałek Petain.

Według prasy francuskiej przejęcie ministerstwa przez marszałka pozbawione było cech jakiejkolwiek protokólarnej kurtuazji. Jak podaje „Je suis partout", scena ta miała następujący przebieg:

Do dyrektora gabinetu Paul-Boncoura przybył jeden z adjutantów marszałka Petain, oświadczając: „Mam misję poinformowania pana, że marszałek Petain został mianowany ministrem wojny i że wobec tego prosi, aby p. Paul-Boncour przyjął to do wiadomości".

— P. Paul - Boncour — odparł szef jego gabinetu, wie już o tym fakcie, pragnie tylko wiedzieć, kiedy może spotkać marszałka, aby mu przekazać ministerstwo.

„Marszałek — odparł sucho oficer — przybędzie za chwilę, aby objąć swe stanowisko — uważa jednak wszelkie spotkanie się za zbyteczne".

Po tej wymianie zdań, jak dowodzi tygodnik francuski, p. Paul-Boncour niezwłocznie i dyskretnie ministerstwo opuścił.

U Polaków na drugiej półkuli

(Wrażenia z Brazylji — ciąg dalszy).

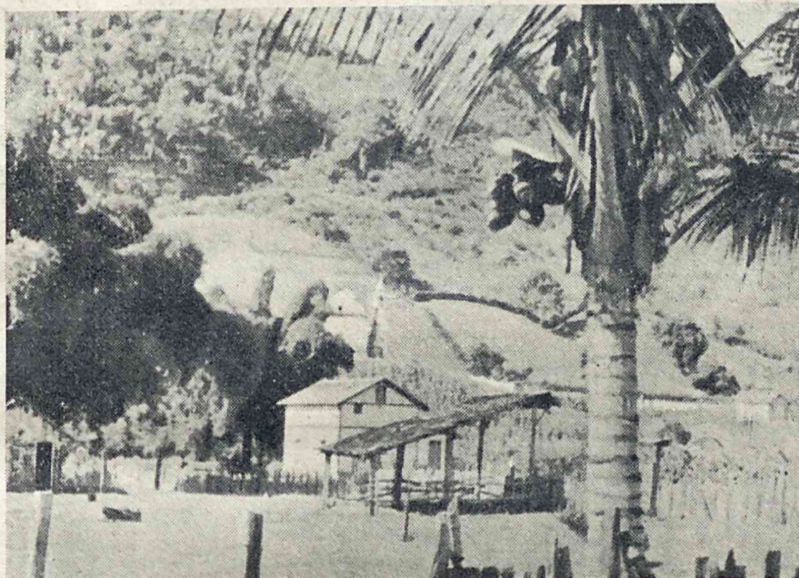
Las się skończył. Zatacza ogromne, ostre półkole i obejmuje miłośnie zielonemi ramionami wyrębów wydarte puszczom ziemie. Domy i domki. Przed nami, na pagórku, zabudowania administracji kolonji Aguia Branca. Wszędzie pełno ludzi. — Przed bramą tryumfalną ustawiony w szeregu oddział strzelców. Nadjeżdża wreszcie minister wraz z przedstawicielami władz brazylijskich. Chleb i sól. Okrzyki. Przemówienia. A wieczorem gawędy: o Brazylji, warunkach pracy i o dalekiej Ojczyźnie. Wszyscy mają na ustach jedno pytanie: kiedy przyjadą z Polski nowi osadnicy?

— Raźniej nam będzie wtedy — mówi jakiś stary gospodarz, — gdy kupa narodu swojego tu przybędzie i w pracy więcej wspólnemi siłami zrobiem, drogi pobudujem, a i zabawić się w święto piękniej będzie...

Nazajutrz po uroczystościach zwiedzamy gospodarstwa administracji kolonji. Jest tu i świetnie uposażona apteczka, i gabinet lekarski, bibljoteka, szkoła, wreszcie „wenda" — typowy wioskowy sklepik, sprzedający wszystkiego potrochu.

— Osadę tworzą standartowe, drewniane domki w otoczeniu mniej lub więcej obszernych zabudowań. Bieda przeplata się z zamożnością — jak wszędzie. Wyraźnie zaznaczają się też różnice między gospodarstwami dawniej a w ostatnich czasach przybyłych rolników. Narzekają tylko wszyscy jednakowo. Zwłaszcza na brak krów, które stanowią tutaj podstawę dobrobytu. P. min. Grabowski pociesza niezadowolonych, poleca urzędnikom zakupić krowy na własny rachunek...

Pomimo tego „urzędowego" bardziej, niż rzeczywistego niezadowolenia — wynosi się z inspekcji wrażenia raczej dodatnie. Kilkoletnia walka z puszczą, klimatem i nostalgją — przynosi zwykle dobre rezultaty: przyzwyczajenie i — dobrobyt. Przeciętnie każdy gospodarz posiada spore stadko nierogacizny, której hodowla jest bardzo popłatna — i parę hektarów ziemi obsianej ryżem, kukurydzą i manjoką. Wspaniała gleba daje obfite zbiory kilka razy do roku... Naogół też koloniści czują się dobrze i nie myślą o powrocie do kraju. Borykanie się z nędzą i bezrobociem wydaje im się znacznie uciążliwsze od tego mozolnego, ale podniecanego nadzieją, zdobywania ziemi — skrawek po skrawku.



Domek kolonisty w „Patrimonio dos Polacos", stan Espirito Santo



Pomysłowo zbudowany młyn przez kolonistę polskiego w „Aguia Branca"

Bo chłop polski ma twarde pięści. Tam, gdzie Włoch i Portugalczyk opuszcza bezradnie ręce — polski osadnik nie traci energji i prostą drogą dochodzi do obranego celu.

A kiedy zaspokoi najdokuczliwszy głód ziemi, budzą się inne dążenia i potrzeby. Po samotności — pragnie gwaru i towarzystwa, idzie więc do ludzi na pogawędki, ploteczki, wspomnienia... Tworzą się też stowarzyszenia kulturalno-oświatowe. Narazie jest ich tylko dwa: Towarzystwo rolniczo-oświatowe i drugie, bardziej ruchliwe, „Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej". Kilka miesięcy wystarczyło, aby z jego inicjatywy powstało w Aguia Branca boisko sportowe, chór, aby odbyło się kilka amatorskich przedstawień teatralnych i meczów.

* * *

Mija parę pochmurnych, mglistych, lecz pełnych wrażeń dni. Min. Grabowski i przedstawiciele władz brazylijskich już odjechali. Pozostaliśmy we trzech — mój przyjaciel, fotograf z Rio — i ja — i oczekujemy na pogodę, aby móc zrobić kilka zdjęć.

Zjawia się wreszcie upragnione słońce, pozwalające nam udać się w powrotną drogę. Jedziemy konno we trzech tą samą drogą, wijącą się po zboczach skalistych gór. Zatrzymujemy się u osadników polskich w Patrimonio dos Polacos i u bogatego ogrodnika — Laskowskiego. Trudno z tymi ludźmi mówić o starej Ojczyźnie — zapomnieli.

Dzieci o płowych główkach i habrowych oczach mówią twardą, łamaną portugalszczyzną. Takie nasze „wsiowe", zasmarkane dzieci...

Żabko-Potopowicz

Lekcja polskiego w szkole polskiej w „Lagoa das almas"



Plantacja kawy i bananów kolonisty Samsela, polaka, w „Aguia Branca"



OTWARCIE DOMU ARTYSTÓW NA GŁODÓWCE

(Zdjęcia Photo-Plat)



Pan Prezydent wśród artystów. Obok rektor Pruszkowski, w głębi poseł M. Dąbrowski

Przeżywamy w Polsce okres pędu ku naturze. Jest to oczywiście najchwalebniejszy pod słońcem nawrót człowieka ku źródłom odrodzenia.

Tak myśląc, mknąłem w niedzielę — ku Głodówce, gdzie w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej miano dopełnić obrzędu uroczystego poświęcenia i otwarcia „Domu Artystów" im. Karola Stryjeńskiego.

Zaczarowany, słoneczny kraj górskiej zimy. Gdzieś na ośmnastym może kilometrze ukazuje się ustawiona grupa samochodów, a wśród nich jeden, błyszczący granatowym połyskiem, z godłem Państwa Polskiego na chłodnicy.

Ledwo zarysowana na lewo wśród regla drożyna otwiera mi widok na zbocza Głodówki. Z pośród ciemnej zieleni równiuteńkiego kobierca młodego regla wznosi się, widna zdala, kształtna, drewniana budowla, cel mej podróży: Dom Artystów, na którym chwieje się w słońcu wielka biało-czerwona chorągiew.

Okala go prześliczny, młody zagajnik świerkowy. Uwija się naokół tatrzański lud, weselnie przybrane, rozdzwonione zaprzęgi sań, sylwetki narciarzy, wojskowych-oficerów. Zbliska dopiero widzę, że przeważają urodziwe narciarki, ze zgrzebnemi fartuszkami zprzodu i papierowemi paletami u boku. To gospodynie dzisiejszej uroczystości — młode adeptki sztuki plastycznej, studentki Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie.



Otwarcie Domu Artystów im. Karola Stryjeńskiego na Głodówce



Śniadanie przy dźwiękach orkiestry góralskiej

Pod ścianą Domu jeży się las nart i kijków. Dziwna to uroczystość artystyczno - narciarska. — I taki jej charakter ukazuje się wszędzie.

Wszyscy, stłoczeni przed Domem, oczekują na zbliżający się saniami od szosy orszak z Panem Prezydentem i Jego Małżonką.

Za chwilę z pod Domu, przystro-

jonego w zielone girlandy, zrywa się okrzyk: „Niech żyje!!", a przez otwarte okno płyną tony hymnu państwowego. Takie powitanie zgotował swemu największemu Gościowi Dom Artystów.

Drga w lekkim uśmiechu oblicze Pana Prezydenta. Grupują się towarzyszący Mu dostojnicy i gospodarze tego osiedla, od wojewody do naczelnika gminy miejscowej w góralskiej, krótkiej sukmanie.

Rektor Pruszkowski, imieniem Warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych, w krótkiem przemówieniu wyraża „głęboką radość i dziękczynienie" za to, iż „Pan Prezydent, symbol wielkości Rzeczypospolitej, zaszczycił swą obecnością artystów skromną uroczystość i Dom ten na Głodówce, to dzieło, które przyczyni się do uprawy gleby pod przyszłość Polski i jest niemniej doniosłem, aniżeli dźwiganie potężnych fabryk i budowa nowej, wielkiej linji komunikacyjnej. Umożliwienie bowiem młodzieży artystycznej fizycznego jej rozwoju w najpiękniejszym bodaj zakątku ziemi naszej jest czynem mądrym i przewidującym". Okrzykiem na cześć Pana Prezydenta zakończył Rektor Pruszkowski swe przemówienie.

Państwo Prezydentostwo w otoczeniu dostojnych gości i rozradowanej braci artystycznej przy dźwiękach „ozwodnej nuty zakopiańskiej" strojnej góralskiej kapeli wstąpili w nowy Dom Artystów, który pierwszy kapelanksiądz kanonik Humpola, po odprawieniu ceremonji liturgicznych i po okolicznościowem przemówieniu, wszystek, przechodząc wraz z Dostojnym Gościem dom zgóry nadół, — święcił.



Pożegnanie gości — rektor Pruszkowski na czele orkiestry góralskiej Photo-Plat

Pan Prezydent, zwiedzając dom, zachwycał się najwspanialszą panoramą całych Tatr, jak na dłoni, widzianych z przestronnych tarasów. Pełną siłą operujące słońce podkreślało jeszcze urodę górskiego świata.

Schronisko jest jednopiętrową z poddaszem (gdzie znajduje się pracownia malarska, już zawieszona „eksponatami") willą, zbudowaną z troskliwą pieczołowitością i smakiem artystycznym w duchu swoistej interpretacji t. zw. stylu zakopiańskiego (witkiewiczowskiego) przez inżynierostwo małż. pp. Wimmerów. Zmieścić może ponad 40 osób. Pokoje ma nader widne. Pierwsze też wśród naszych schronisk górskich posiada łazienkę i parownię, której pomysł przywiózł z krajów północnych p. ppłk. Ziętkiewicz.

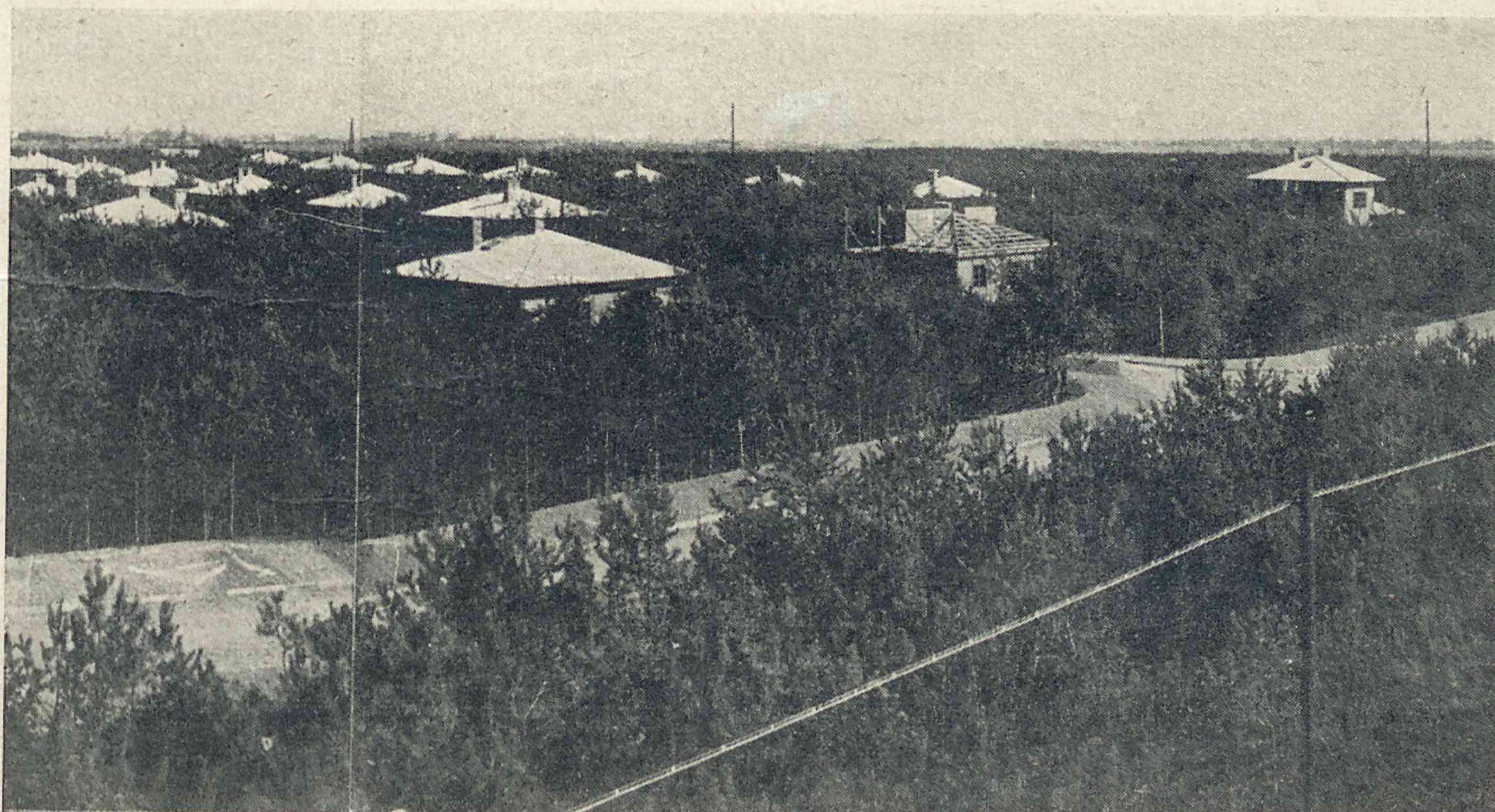
Gospodarze Domu po uroczystości poświęcenia w rodzinnym niemal nastroju podejmowali Pana Prezydenta wraz z Małżonką i wszystkich gości śniadaniem, w czasie którego p. senator Targowski, prezes Tow. Przyjaciół Akad. Sztuk Pięknych w Warszawie w Warszawie, w dłuższym „meldunku" skreślił historję powstania Domu Artystów, wzniesionego w miejscu przez ś. p. Karola Stryjeńskiego wybranem. Podniósł zasługi dla tej pięknej sprawy gen. Zamorskiego, pułk. Kilińskiego, p. Lilpopówny, płk. Ziętkiewicza, pp. Wimmerow i innych.

Minęło czasu sporo, zanim przy dźwiękach muzyki podhalańskiej, po wielu miłych scenach i uciesznych zdjęciach fotograficznych, z muzyką, niby orszak weselny, odjeżdżał Pan Prezydent i reprezentanci władz.

Fr. Olbrychski

♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦

O 6 klm. od Warszawy powstaje osiedle „Babice" uczestników walk o Niepodległość, im. Marszałkowej Al. Piłsudskiej. W tych dniach pani Marszałkowa Piłsudska przybyła do osiedla, aby zapoznać się ze stanem robót i obejrzeć pierwsze domki już bliskie wykończenia. Na Panią Marszałkową oczekiwał p. min. generał Składkowski, który oprowadzał Panią Marszałkową po terenie, udzielając wyjaśnień. W zwiedzaniu nowego osiedla wzięli również udział pp.: pułk. Jagrym-Maleszewski, M. Wańkowiczowa, Lis-Błońska, prezes Krzemieński, gener. Kołłątaj-Srzednicki, pułk. Ulrych, M. Wańkowicz oraz kierownicy prowadzonych robót.



Babice — kolonja b. uczestników walk o Niepodległość, im. Marsz. Al. Piłsudskiej



...modlił się do okrutnego bóstwa, miał widzenia utęsknionej zjawy...

MIECZYSŁAW JAROSŁAWSKI

ZAKOCHANY YOGI

NOWELA

Wracając o zmroku z obchodu swego dystryktu, yogi Fatik-Chabibou zatrzymał się pod murami siedziby Dżotina-Babu — tuż koło niewielkiej szczeliny, pozwalającej zajrzeć do wnętrza pachnącego kwiatami kwintu i czampahy ogrodu. Spojrzał — i nie mógł już oderwać wzroku od tego, co zobaczył. Fatik Chabibou przywarł do muru, nie jak mucha do lepkiego plastra, bo o takich wymysłach inkwizycji europejskiej poczciwi Indusi nie mają pojęcia, ale, powiedzmy, jak dobrze nażarta kobra do szyi demonstrującego ją fakira, o czem znów nie mogą pomyśleć Europejczycy bez przykrego dreszczu.

W tej niewygodnej pozycji, drżąc coraz mocniej na całem ciele — przetrwał cudotwórczy yogi dosyć długo.

Fatik-Chabibou był znanym ascetą i człowiekiem świątobliwym, a wyobraźnia jego, skrępowana fachem, nie powinna była ulegać halucynacjom, o jakich w cnotliwem swojem życiu ani marzył. Ale cnota ma to do siebie, że tak długo trwa, dopóki zbieg okoliczności nie ukaże jej odwrotnej strony medalu. Tę właśnie stronę Fatik, jak przypuszczał, dzisiaj poznał i głęboko był strapiony w duszy swojej. Mimo to dnia następnego znów o tej samej porze znalazł się pod murami ogrodu Dżotina-Babu — i znów zobaczył to samo.

Nie pomogły modły zanoszone przed tron okrutnej bogini Kali, żony okrutnego Sziwy. Uspokojenie w modłach wprawdzie znajdował, ale nadchodzący zmrok pędził go znów pod szczelinę w murze. Rozglądał się przytem bacznie, aby go ktoś nie podpatrzył. Ba! nawet przed samym sobą, ascetą Fatikiem Chabibou, czynił to w największej tajemnicy.

Yogi Fatik-Chabibou należał do najszlachetniejszej kasty Brahminów, żył w cnotliwej samotności, a wiek jego — lat 57 — umiejętne ćwiczenie się w cnotach, skromność wymagań życiowych, zaś nadewszystko wiedza — zdobyły mu należny szacunek daleko po za obrębem świętego miasta Benares. Wytrwałością wielką, dokładną znajomością praktyk religijnych, a poniekąd i przebiegłością dochrapał się stałej posady w świątyni Kali, stanowiącej własność pobożnego kupca fetyszów i amuletów w Benares, Dżotina-Babu.

Żaden z pielgrzymów, odwiedzających święte wody Gangesu w Benares, w których wykąpanie się równe jest zbawieniu, nie omieszkał odwiedzić Dżotińskiej świątyni, pomimo istniejących w tem mieście zgórą pięciuset innych przybytków bożków. Każdy też chciał wysłuchać rad i przepowiedni czcigodnego Fatika Chabibou, jakoteż spełniał zlecenia jego, dotyczące nabycia fetyszów w składach uczciwego i miłego bóstwom kupca, Dżotina Babu.

* * *

Wycieczki wieczorne trwały już kilka tygodni. Miast uspokajać jednak Fatika, wypełniały mu przestrzeń dnia tęsknotą, wichrząc zdrowy dotychczas rozsądek. Probował więc się umartwiać, nie jadał w dzień, przez kilka godzin trzymał ramiona podniesione do góry i patrzył do zamroczenia wzrokowego w słońce. Nie skutkowało i to. Fatik Chabibou z desperacją szukał sposobu wyjścia.

Przypadek przechylił nareszcie szalę. Od tygodnia już Fatik z powodu dorocznych obrządków religijnych w świątyni bogini Kali nie mógł pospieszać o zmroku na swoją placówkę obserwacyjną. Okres ten wydawał się Fatikowi wiecznością. Był podniecony, roztargniony, nawpół przytomny. I dlatego właśnie jeszcze bardziej czczony i podziwiany przez wiernych. Modlił się do swej bogini dziwnemi, niezrozumiałemi słowami ekstazy i nieprzytomnych uniesień, ulegał omdleniom, miał widzenia utęsknionej zjawy. A tłum szalał w fanatycznej nabożności i całował ślady jego stóp.

— Sziwa wstąpił w Fatika Chabibou — rozniosła się fama po świętem Benares i okolicy, ściągając coraz liczniejszych wiernych. Z dnia na dzień oczekiwano cudu który pątników uzdrowi, zbliży ich do bogów i zapewni błogostan życia doczesnego i wiecznego.

Dżotin-Babu był nie mniej oczarowany stanem kapłana, który, ściągając w progi świątyni niezliczone rzesze, powiększał klijentelę składu z fetyszami i amuletami.

Wreszcie Fatik, umęczony przez święty obłęd, sam uwierzył w swoje powołanie cudotwórcy i nie wątpił, że cud się stanie. Fatik wiedział jednak, że — nie bez jego pomocy...

Tłum nie mógł mieć zawodu. Yogi zdecydował się więc na krok ryzykowny.

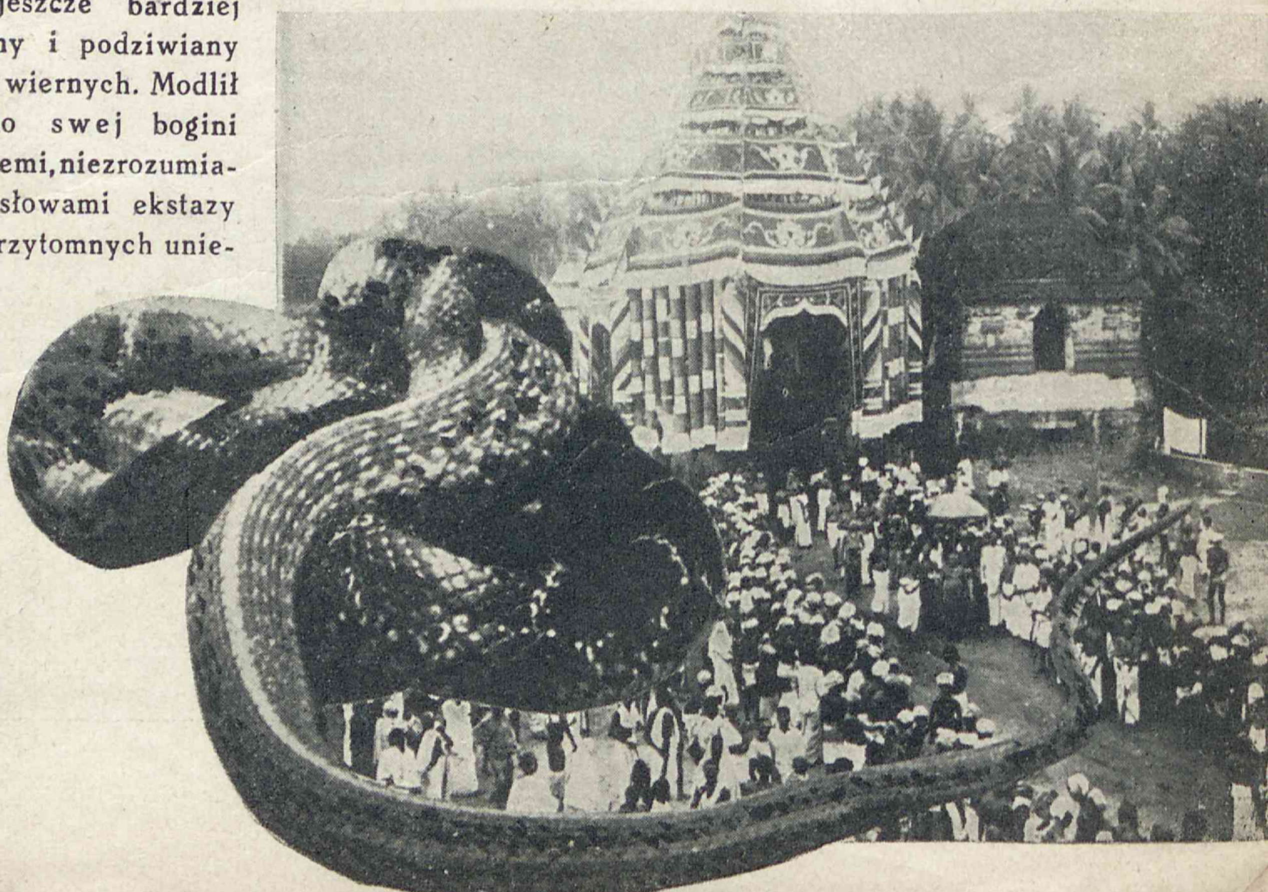
Któregoś wieczoru wymknął się ze świątyni, wsunął głowę w szczerbę muru i czekał. Ku małej ocembrowanej białym marmurem sadzawce zbliżyła się młoda, smukła dziewczyna, zrzuciła z siebie lekką szatę i zanurzyła się w wysrebrzonej księżycową poświatą wodzie.

Fatik Chabibou zamarł w zachwycie.

— To nie może być rzeczywistość! — wnioskował rozumnie. — Tylko bogini może tak wyglądać. Ludzie kąpiący się przez cały dzień w świętej wodzie Gangesu w niczem nie są podobni do tej zjawy.

Naraz usłyszał poza sobą lekkie stąpanie. Drgnął i ukrył się za pniem gojawy. Z cieniów wyłoniła się wysoka postać mężczyzny. Rozległ się cichy świst. Z za muru dobiegły dźwięki kroków biegnącej boginki i smukłe jej ramiona ukazały się ponad ciemną masą kamieni, ry-

...ściągał w progi świątyni niezliczone rzesze...



sując się łukami na szafirowem tle nieba. Zaśmiała się cicho, radośnie. Fatik, niby pusty worek, obsunął się na ziemię. Na policzkach uczuł łzy.

Tymczasem cichy szept płynął z ust tych dwojga.

— Cudna moja Sasi-Kali... Kiedyż wprowadzę cię w dom mój nareszcie?

— Ojciec mi mówił, że czeka zakończenia świąt naszej bogini i cudu, który uczyni Chabibou. A wtedy będziemy już razem, — odparła dziewczyna. — Niedługo już będziesz czekał Anath...



...bogini Kali wcieliła się w córkę twoją...

Rozstali się. Yogi długo jeszcze siedział nieruchomo. Kiedy się podniósł—wiedział, co ma czynić. Niebawem znalazł się w świątyni bogini Kali i przemówił do tłumu wielkim głosem:

— Za mną chodźcie, bracia moi!

Sunęli ulicami Benares ku siedzibie Dżotina-Babu. Gwar tłumu wywabił przed wrota domowników. Stał wśród nich i Dżotin-Babu. Wtedy Fatik wysoko podniósł ramiona i zawołał po trzykroć:

— Biada! Biada! Biada!

Wiedział, co robi. Wystraszony Dżotin-Babu zapytał: — Zlituj się! Co znaczą twoje słowa?

— Lud wymaga cudu. Bogowie wybrali ciebie do okazania swej woli.

Dżotin-Babu przeczuł, że mu coś grozi. Lubił brać przy pomocy bogów, bogom dawać niezbyt był skory. Zły zaś był to znak, jeżeli bogowie wymagali czegoś przez usta swego kapłana.

A Yogi mówił dalej: — W domu twoim objawiło się bóstwo. Chce ono wrócić do świątyni, nie przystoi mu bowiem zbyt długo przebywać u ciebie. Bogini Kali wcieliła się w córkę twoją, Dżotinie. I oto co ci każe uczynić. Dzisiejszego jeszcze wieczora wsadzisz Sasi-Kali do wielkiego kosza z pokrywą. Kosz ten zawiążesz sznurem — umieścisz go w wielkiej gondze i zepchniesz na wody Gangesu. Bogini dopłynie ku stopniom świątyni. Raduj się więc, Dżotinie-Babu.

— Fatiku! Radość moja będzie większa, gdy sam przyprowadzę Sasi-Kali do świątyni.

— Dżotinie-Babu! Czeka cię wielkie nieszczęście, gdybyś mówiącej przez usta moje bogini zadość nie uczynił.

Przekonany Dżotin-Babu, wracając do domu, rozmyślał.

Zwierzył się też żonie ze swą troską. Wreszcie uczynił, jak nakazał Fatik.

Łódź popłynęła szybko. W drodze jednak zatrzymał ją na chwilę młody radża Anath. Otworzył kosz, zapakował go ponownie — i puścił łódź w dalszą drogę.

Wkrótce uczniowie Fatika — wśród głośnych okrzyków tłumu — zatrzymali przepływającą obok świątyni gongę, a kosz, zgodnie z rozkazem Yogi, odnieśli do jego celi. Fatik, znalazłszy się sam na sam z cenną ofiarą, drżącemi dłońmi jął rozwiązywać sznurki. Zaledwie jednak ustąpiły węzły, wieko odskoczyło, jakby pchnięte ukrytą wewnątrz sprężyną. Coś potwornego rzuciło się na Fatika, wczepiając mu się z nieludzką mocą w resztki siwiejącej czupryny. Yogi nie zdążył zobaczyć swojej oblubienicy. Odbierał bolesne szturchańce i policzki, zamykał oczy i odwracał twarz ku ziemi, aby nie ujrzeć srogiego oblicza karzącej go bogini.

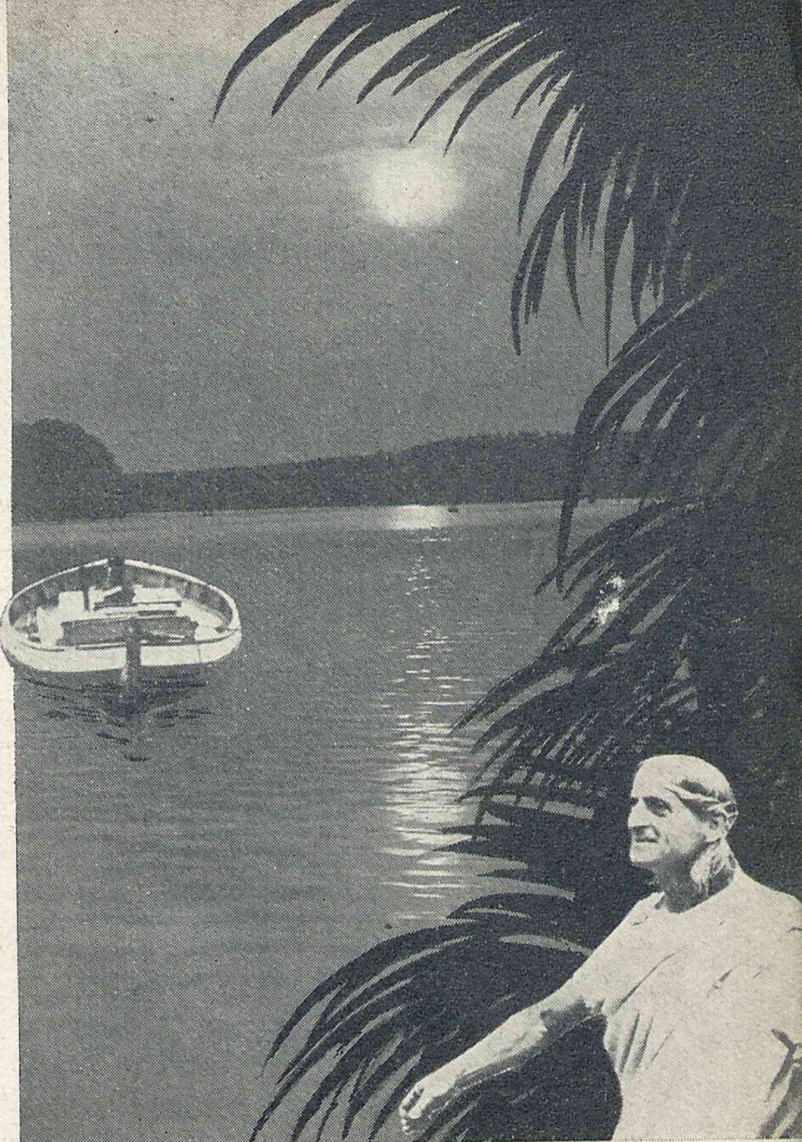
Po chwili wszystko się uspokoiło. Fatik ostrożnie spojrzał. Na tapczanie jego siedziała wielka, brunatna małpa, zajadając banany. Oniemiały yogi przerażonym wzrokiem przyglądał się tej dziwnej przemianie. A za oknem wył niecierpliwie tłum oczekujący cudu.

Postać cudownej dziewczyny z ogrodu Dżotina stanęła w oczach yogi. Spojrzał znów na małpę.

— Czyżby bogini naprawdę ją aż tak przemieniła? — zastanowił się.

Tłum się dobijał. Zaniepokojona małpa zeskoczyła z tapczana siadła na parapecie okna i wyjrzała na zewnątrz. Tłum zawył głosem uwielbienia. Małpa wyciągnęła łapę. Podawano jej banany, kokosy, daktyle. Fatik patrzył z niemym podziwem i rosło w nim przekonanie, że cudu istotnie dokonał.

Od dnia tego Yogi Fatik Chabibou ogłoszony został za arcykapłana cudownej małpy — Awatara bogini i zupełnie już wierzył w jej przemianę. Małpa polubiła go bardzo. Nie miała wcale zamiaru opuszczać jego celi. Dżotin-Babu zaś wprowadził nowe rodzaje fetyszów, których sprzedażą po za Fatikiem zajmowała się również małpa.



...młody radża Anath zatrzymał łódź na chwilę...

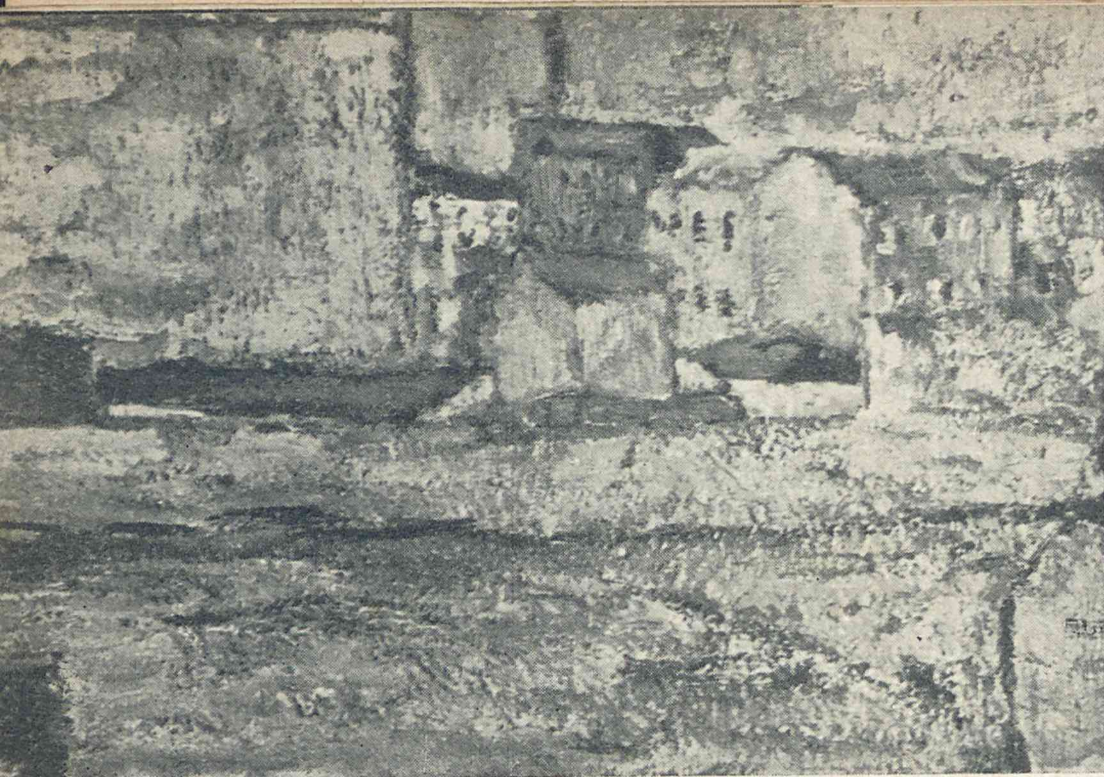
A na przeciwległym brzegu Gangesu, we wspaniałej białej willi, spadającej w wodę marmurowemi stopniami, w blaskach księżyca siedział na tarasie radża Anath Rajcharan, wskazując młodej swej żonie, Sasi-Kali—piękną świątynię bogini Kali...

— Gdy serce obudzi się zbyt późno do życia, w namiętności swojej podobne jest do tej małpy i jej tylko już godne...

— Cicho, Anath... — odpowiedziała Sasi-Kali — biedny yogi nie zaznał nigdy miłości... A przecież, gdyby nie on i gdyby nie cud jego...

...coś potwornego rzuciło się na Fatika...





Jan Cybis. Pejzaż (Photo-Plat)

Artyści mówią o sobie

Ankieta „Świata"

(W poprzednich numerach „Świata" zabierali głos w ankiecie: W. Jastrzębowski, H. Kuna, T. Pruszkowski, W. Skoczylas, J. Tom i E. Wittig

JAN CYBIS

Uderzona twardym akcentem mowy p. Jana Cybisa, dowiaduję się, że pochodzi z niemieckiego Śląska. Patrzę na niezwykle subtelne w barwie, jasne obrazy i stwierdzam kruchość teorji środowiska, klimatu i t. p.

„Jedyny klimat, który promieniuje na cały świat cywilizowany, wytwarza Francja" — mówi p. Cybis.

— Czy po powrocie z Paryża znajduje pan w kraju odpowiednie warunki pracy?

„Brak mi przedewszystkiem pieniędzy, ale trzeba sobie raz na zawsze wytłomaczyć możliwość zarobkowania pracą nie malarską. Żadnej pracy nie da się ze sztuką pogodzić bez szkody dla niej".

— Czy należąc sam do grupy „Kapistów", uważa pan łączenie się artystów za pożyteczne?

„O, nasza grupa to nie sztuczny twór, to głęboka potrzeba. Strzec się jednak trzeba zbiorowego zakłamania".

Rozmowa przechodzi na zagadnienia teoretyczne i artysta się ożywia.

„Temat w dziele sztuki, to wcale nie żywotna kwestja. Poprostu moda nastała, aby o tem gadać. Dlaczego główka aniołka ma być koniecznie lepsza od jabłka? Temat dla mnie nie jest ważny. Musi być powód malarski. Djabli wiedzą, skąd taki powód czy podnieta przychodzi; coś podobnego jak w muzyce, jak w literaturze. Jeśli chodzi o formę, to o tem rok możnaby gadać. — To jedno wydaje mi się pewne, że niema formy bez koloru. Przez barwę trzeba dążyć do wyrazu. Dużo mówi się o technice samej, jako zagadnieniu, a to jest tylko zawracanie głowy. — U Cézanne'a choćby — technika to zero".

O modernizmie wyraża się pan Cybis sympatycznie, nie wyłączając malarstwa abstrakcyjnego.

— Czy interesują pana zagadnienia społeczne odnośnie do sztuki?

„Zacytuję Goethego: „Ich singe wie der Vogel singt"... Społecznikostwo to są żarty, to zupełnie niepoważna rzecz. Sztuka to przecież poprostu fizjologiczna funkcja człowieka, urodzonego na artystę. Malowanie dla maluczkich, dawanie im ochłapów, to właśnie czyn niespołeczny. Artysta zawsze powinien dawać maximum ze siebie i to jest jego uczciwość społeczna. Taką samą według mnie nieuczciwością — jest dawanie surogatów, które się wymyślnie nazywa sztuką narodową".

O kryzysie p. Cybis twierdzi, że kryzys w sztuce nie istnieje, albo można uważać, że istnieje stale, bo ciągle się coś zmienia i coś załamuje.

„Że obrazów ludzie nie kupują, to bardzo proste: nie mają forsy, a zresztą ja się nad tem nigdy nie zastanawiałem" — dodaje artysta.

Jakie kierunki w sztuce najbardziej panu odpowiadają?

„Za ruch najważniejszy uważam impresjonizm, który zupełnie nie jest jeszcze wyczerpany. Potępianie tego kierunku należy do pewnej odmiany modnego dziś snobizmu".

A jak można określić stosunek „Kapistów" do impresjonizmu?

„Kapiści" wyszli od formistów, a nie od impresjonistów. Pracując dalej i znalazłszy się w Paryżu, gdzie impresjonizm po kubizmie znowu cieszy się uznaniem, zachwycili się tym kierunkiem".

A kogo z malarzy uważa pan za najciekawszych?

„Courbet, Cézanne, Van Gogh, Corot, Bonnard. Lubię też bardzo szkołę flamandzką i staro niemiecką — specjalnie Dürera. Straszna szkoda, że w Polsce nie mamy bogatych muzeów".

Jakie miejsce w sztuce zachodniej wyznacza pan sztuce polskiej?

„W świadomości ogółu kulturalnego żadnego nie mamy miejsca, bo jesteśmy nieznani. Tego, co mamy, nie potrafimy pokazać w kraju, a co dopiero mówić o zagranicy? Mieliśmy jednak szereg doskonałych artystów. Wielu wzruszeń doznałem, patrząc na niektóre zwłaszcza obrazy Kotsisa, Rodakowskiego, Gierymskiego; Matejko i Wyspiański natomiast to nie plastycy. Ze sztuką polską nie jest tak źle. Całokształt jej nie dorównywa Francji, ale coś się jednak robi.



Jan Cybis (Photo-Plat)

JÓZEF CZAPSKI

Rozglądam się po wielkiej pracowni p. Józefa Czapskiego. Na ścianach nie widzę żadnego obrazu, dopiero po chwili spostrzegam całą ich masę ustawionych obok siebie, dyskretnie schowanych przed okiem gościa.

— Niech mi pan pokaże coś ze swych prac, proszę?

Za chwilę w pustym pokoju zakwitają świeżemi barwami fragmenty ulic, aleje ogrodu i portrety.

„To są prace przeznaczone na wystawę „Kapistów", która ma być otwarta w IPS-ie w marcu — mówi p. Czapski. — Co mnie interesuje najbardziej — to działanie plamy barwnej, — chodzi mi o wydobycie czystego dźwięku koloru, o intensywność tonu, o konstruowanie za pomocą barwy. Punktem wyjścia dla mnie jest natura, ale odpowiednio potraktowana".

— Czy w Polsce po długim pobycie w Paryżu znalazł pan sprzyjające warunki pracy?

„Mam pracownię, to rzecz zasadnicza,

Józef Czapski. Portret (Fot. Olszewski)



ale brak mi muzeów. Namiętnie marzę o podróży do Włoch, która jest konieczna dla mojej przyszłej pracy. Gdybyśmy mieli w Warszawie chociaż jedną salę dobrego malarstwa z XIX wieku, to wyjazd młodzieży zagranicę byłby mniej niezbędny. Studja trzeba odbywać koniecznie w Paryżu — mówi entuzjasta nadsekwańskiej stolicy".

— Czy uważa pan, że trzeba młodzież kierować do jakiejś szkoły?

„Jest niesłychanie ważne wskazywanie młodym artystom kogoś obeznanego ze sztuką francuską, ktoby ułatwił im orjentację. — Nadzwyczajnie dużo zawdzięcza np. Pankiewiczowi każdy, kto się do niego zwróci. Pankiewicz, jak wiadomo, stoi na czele filji Akad. Krakowskiej w Paryżu. Jestem pełen podziwu i szacunku dla Pankiewicza jako profesora, artysty i człowieka, który moralność malarską posunął do ostatnich granic, nie robiąc ani jednej kreski, aby się podobać, aby zrobić pieniądze. Najważniejsza rzecz to nie szkoła, a wytworzenie odpowiedniej atmosfery przez profesorów. Kiedy Pankiewicz przyjechał do Krakowa, wszystko co zdolniejsze garnęło się do niego, on swym zapałem spowodował, że



Józef Czapski

kilku z nas, późniejszych „Kapistów", bez pieniędzy, bez znajomości języka, pojechało do Paryża i przebyło tam, z wielkim dla siebie pożytkiem, 8 lat. Z rozpaczą myślę, że młodzi, a tak bardzo zdolni artyści, jak Żuławscy, Studnicki, Ruszkowski i inni członkowie „Pryzmatu", nie mogą zobaczyć sztuki francuskiej".

— W jaki sposób pracuje pan?

„Bardzo trudno. Uznaję konieczność systematycznej pracy i gdy nie piszę, to maluję stale do zmierzchu. Odpoczywam najchętniej na wsi, ale w lecie. Zimą zaś lubię miasto".

— Czy przychylnie odnosi się pan do powstawania licznych grup artystycznych?

„Pracuję wprawdzie samotnie, ale uznaję wielki pożytek w zawiązywaniu się grup, o ile tworzą się one organicznie, jako braterstwo broni, na tle osobistej przyjaźni, w celu robienia wspólnych poszukiwań, a nie dla reklamy. Sam grupie, do której należę, zawdzięczam bardzo wiele, a w szczególności Waliszewskiemu i Cybisowi. Nasuwa mi się tu zdanie Van Gogha — mówi p. Czapski, — że gdyby malarze byli złączeni, mniej samotni, byliby może mniej śmieszni i szczęśliwsi".

— Widzę tu rozmaite pana obrazy, zastanawiam się, jakie tematy specjalnie pan sobie upodobał?

„Wszystkie tematy są dobre, aby tylko podniecały do wizji malarskiej. Robiłem masę martwych natur, teraz pociąga mnie ulica, portret, akt".

— Czy w wyborze tematów kieruje się pan też zamówieniami?

„Nigdy w życiu — odpowiada impulsywnie p. Czapski, — gdy zaczynam myśleć, że coś łatwiej można będzie sprzedać, przestaje mnie to interesować. Tracę zupełnie wizję malarską. — Kwiaty się podobały — przestałem je malować".

Przechodzimy do zagadnienia formy i barwy.

„Nie chodzi mi wcale o samą barwę, tylko o konstruowanie płótna barwą. — Trzeba rysować poprzez barwę. Niema dwu czynników — barwy i rysunku, tylko jedność, tak jak nie powinno być przedziału między formą i treścią".

— W procesie tworzenia uznaje pan zatem dużą rolę intelektu?

„Oczywiście — mówi artysta — malarstwo to nie tylko sprawa uczucia i intuicji, ale przedewszystkiem świadomości. To przesąd, że malarz musi być głupi!"

Kryzys według p. Czapskiego istnieje w sztuce stale, bo zawsze przechodzi ona przesilenia. „Nic zresztą o tem nie wiem — z brawurą dodaje p. Czapski. — Wiem, że maluję i jestem całkiem dobrej myśli. Malarstwo sztalugowe wcale się nie przeżyło i ma według mnie najlepsze widoki na przyszłość. Że nas nie kupują, to prawda, ale ja nie wiem, czem to tłomaczyć, wiem tylko, że porządni malarze zawsze byli głodni. Van Gogh za życia sprzedał jeden jedyny obraz za 45 franków! — Wobec niego my wszyscy jesteśmy burżujami".

— Jaki jest stosunek pana do modernizmu?

„Pod słowem modernizm przemyca się wiele tandety, i to mu bardzo szkodzi. Wśród modernistów polskich cenię bardzo Tytusa Czyżewskiego i nim się zachwycam".

— A z obcych?

„Chciałbym ich wymienić wielu. Uwielbiam Goyę i Greco, kocham Cézanne'a, Matisse'a, Bonnard'a — malarstwem XIX wieku żyłem i żyję w dalszym ciągu. Brak mi muzeów, aby odświeżać swe wrażenia. O sztuce polskiej sądzę, że stoi na szarym końcu. Wkład nasz do dorobku malarstwa wszechświatowego jest nieznaczny, mimo, że mieliśmy wielkich malarzy, jak Michałowski, Kotsis, Aleks. Gierymski i inni".

Krytyce zarzuca p. Czapski przedewszystkiem brak fachowości sądu.

TYTUS CZYŻEWSKI

Maleńki pokoik na 7-mem piętrze. Nie mogę się powstrzymać od uwagi: „Jak na takiej małej przestrzeni może pan malować, jak można tu ustawić modela i sztalugi"?

„Cóż robić — z miłym uśmiechem i lekkiem zażenowaniem odpowiada p. Tytus Czyżewski, malarz, dziennikarz i poeta zarazem. — Nie mam niestety pracowni. Warunki pracy nie są u nas niestety dobre — brak przedewszystkiem dwuch rzeczy: pieniędzy i muzeów. Człowiek jest jak na pustyni, — przecież przebywanie w muzeach, szukanie podniety u starych mistrzów, to konieczne lekcje dla artysty plastyka. Jest wprawdzie trochę doskonałych szkiców w wiatrakach Zachęty — ale to grubo za mało".

— Nad czem pan obecnie pracuje i czy uznaje pan konieczność systematycznej pracy?

„Przygotowuję kilka rzeczy na wystawę w Krakowie. Wogóle w pracy malarskiej nie uznaję żadnego przymusu. Czasem maluję bardzo wiele — a potem dłuższy okres nic nie robię. Codzienne malowanie to byłoby nieznośne jarzmo. Praca malarska odbywa się nietylko z pendzlem w ręce. Gdy oglądam ludzi, już urabiam sobie formę. Praca umysłowa, rozwój intelektualny to niesłychanie ważne rzeczy. Artyście szkoła wprawdzie nie jest niezbędna. Są wybitni malarze, którzy nie przeszli żadnej szkoły. Kultura plastyczna na zachodzie wytwa-

Tytus Czyżewski. Portret (Photo Service)



rza się przedewszystkiem przez muzea".

— A gdzie po pracy szuka pan wypoczynku?

„Na wsi świetnie odpoczywałem, tak cudownie mi się malowało! Malarstwo sprawia mi przyjemność. Malarz musi być manjakiem, musi upajać się sztuką, jak opjum".

Co do roli tematu w dziele sztuki p. Czyżewski sądzi, że przez niego dzieło sztuki ani nie traci, ani nie zyskuje. — „Temat może istnieć, byleby nie zabijał walorów plastycznych, byleby nie było w nim przerostu literackości. Dziś panuje ogólne zepsucie smaku przez fotografję. — Jaki smak mieli dawni ludzie, jak nowoczesne były portrety Velasqueza! Tak się napada na modernizm — a jak bardzo modernistyczne były obrazy Rembrandta. Niezrozumienie sztuki nowoczesnej jest konsekwencją nieznajomości dawnej. Publiczność nie ma otrzaskania ze sztuką dawnych okresów, nie rozumie nawet sztuki greckiej, więc jakże można od niej żądać, aby odczuwała kubizm? Aby zbliżyć społeczeństwo do sztuki nowoczesnej, trzeba je kształcić historycznie przez odczyty i wykłady".

— Czy istnieje według pana kryzys w sztuce?

„Niema żadnego kryzysu, — gorąco zaprzecza p. Czyżewski — odwrotnie, jest renesans w sztuce. — Rzadko było tylu dobrych artystów, jak współcześnie we Francji czy Polsce.



Tytus Czyżewski (Photo Contax)

Brak zapotrzebowania i brak kupców na dzieła sztuki, to nie dowód przesilenia w sztuce. Dawniej były takie same stosunki: jeden był sprytny, to sprzedawał, a inny całemi latami czekał napróżno na nabywcę. Popyt na dzieła sztuki — to przecież żaden probierz wartości. Niema u nas zamiłowania do sztuki, nigdy z małemi wyjątkami nie było pasji do kolekcjonerstwa. Trzeba to zamiłowanie koniecznie rozbudzić choćby na drodze wyrobienia snobizmu".

W kwestji modernizmu założyciel grupy formistów polskich wypowiada się oczywiście z entuzjazmem.

„Modernizm to rzecz zasadnicza, te „nowinki" to sztuka współczesnego człowieka, wyraz naszej epoki. Tylko formizm, kubizm, surrealizm i t. d. mają rację bytu w obecnej dobie".

„Z artystów cenię przedewszystkiem: Bonnarda, Renoira, Braquea a z dawnych El Greco, Goyę — wogóle malarstwo hiszpańskie. Wśród zapoznanych polskich malarzy polskością uderzają prace Szermentowskiego, Orłowskiego, Gierymskiego i Kotsisa. Są oni znacznie bardziej polscy niż Matejko z całym swym historycznym patrjotyzmem, balastem zabijającym czysto malarskie walory. Na czele współczesnej sztuki stawiam Francję, tuż obok niej Polskę".

— A co pan sądzi o krytykach sztuki?

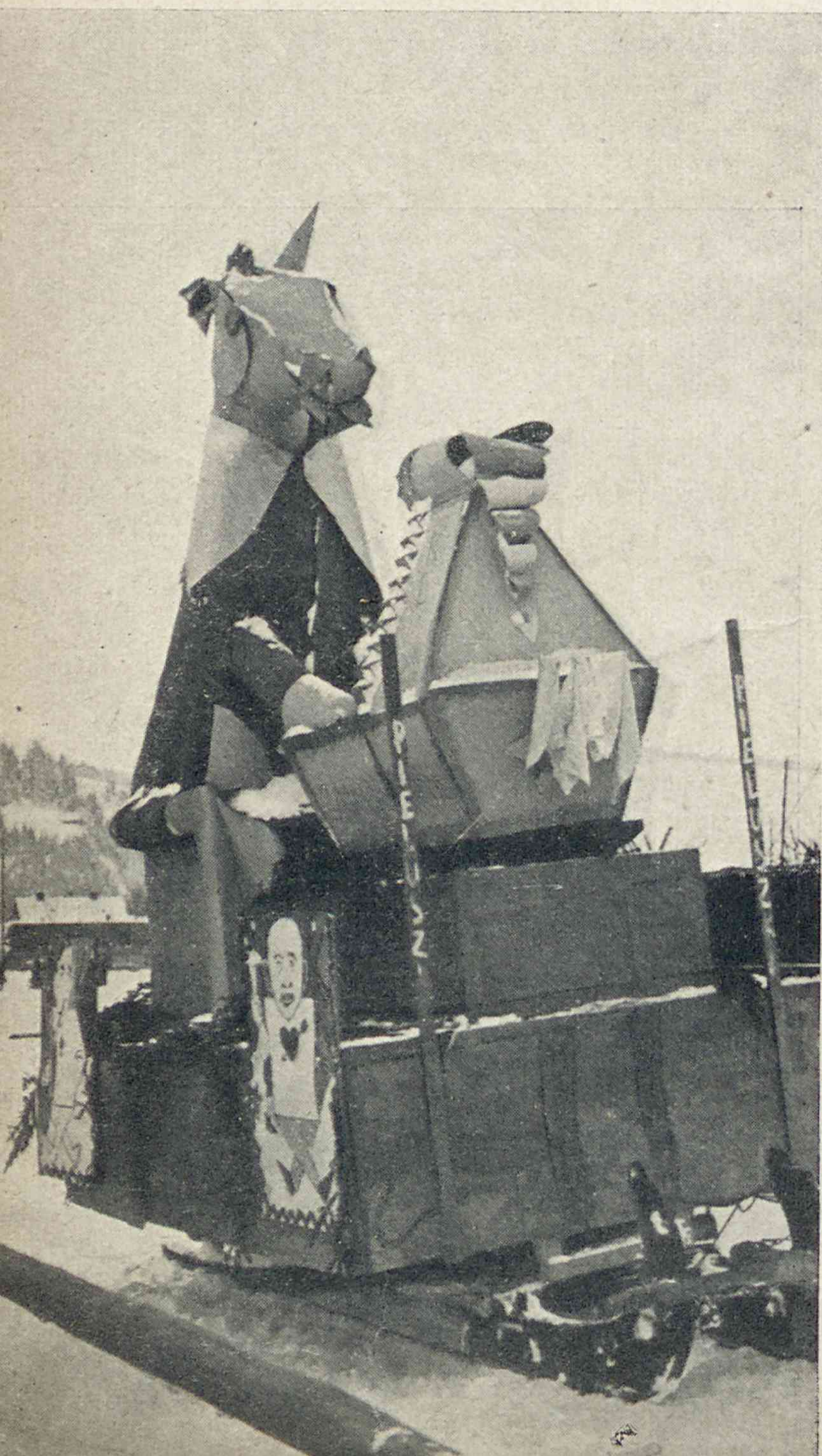
„Są to najczęściej ludzie staroświeccy, małe mają przeważnie wykształcenie, myślą, że pisać o sztuce to łatwo. Redakcje lekkomyślnie postępują, pozwalając pisać literatom zupełnie niefachowym".

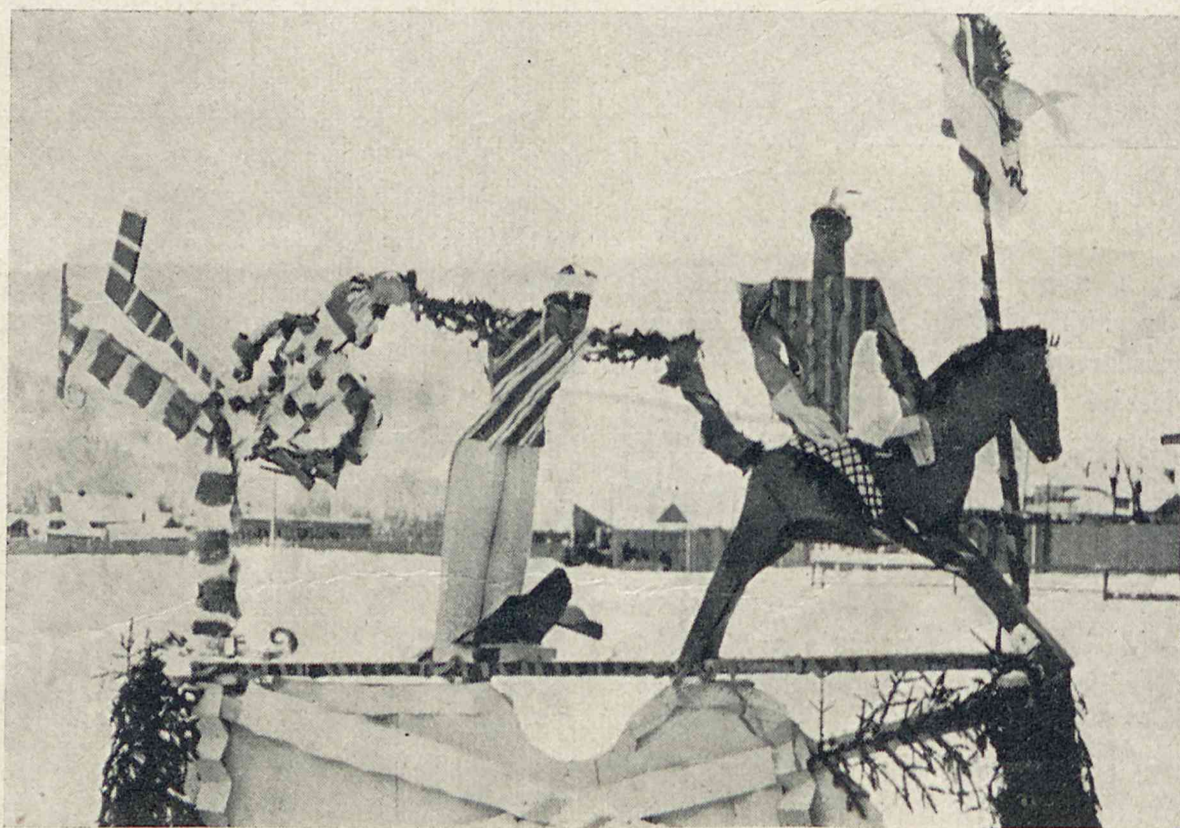
J. Puciata-Pawłowska

W następnym numerze „Świata" zabiorą głos w ankiecie: Henryk Stażewski, Wacław Wąsowicz i Kamil Witkowski

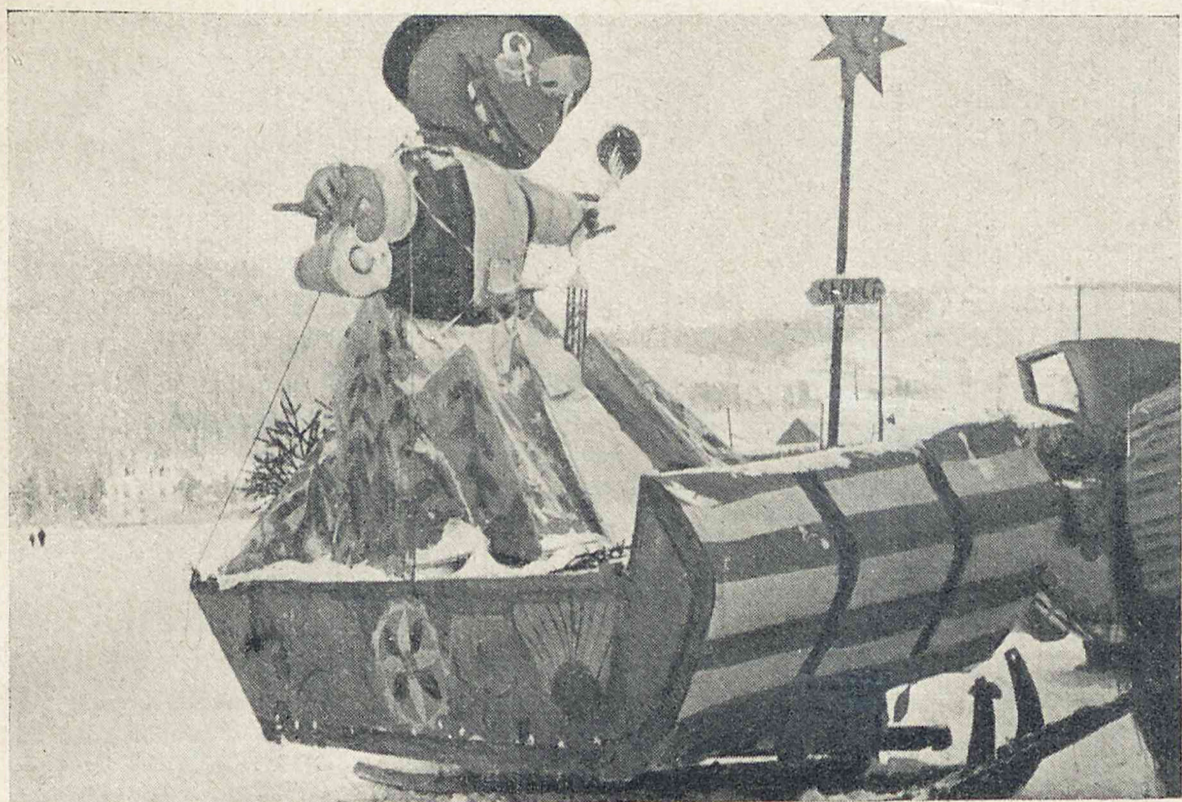
ŚWIĘTO ZIMY w ZAKOPANEM

„Karykatura Klubu Zakopiańskiego"





„Sporty w Zakopanem"



„Zakopane i Tatry"



„Karp Zakopiański"



„Współczesny Smok podwawelski"

Zdjęcia Fr. Olbrychski Zakopane

Przemija już tradycyjny urok karnawałów zachodnich: Nicea, Montreux i inne zbanalizowały się. Orszaki ich wielkich wozów opartych na reklamie odbiegły od tego, co w karnawale ulicznym stanowi główną jego wartość: dowcip, poziom artystyczny i bezpośrednia wesołość. Skoro tłum na ulicach, został ograniczony do roli spektatora, to przestał brać udział w zabawie.

Zakopiańskie „Święto Zimy" czy poprostu zakopiańskie szaleństwo na śniegu poszło inną drogą. Artyści stworzyli maszkary, bałwany, figury sunące i toczące się po śniegu. Skawiński, Waśkowski, Kenarowie, Malczewski, Helena Roj-Rytardowa, górale wszystkich klanów z Andrzejem Krzeptowskim na czele — wszyscy pod wodzą głównego dostawcy animuszu i zapału, Koniewicza, lepili ze śniegu, papieru, drzewa, humoru, pomysłowości, wesela i słońca cały ten szalony korowód, co w tan uliczny porwał widzów wszystkich dzielnic, stanów, wyznań i wieku. Śpiewano, tańczono, kapele góralskie grały, wesele waliło.

Konie rżały, dzieci piszczały, widzowie klaskali w dłonie, śnieg skrzył się, policzki różowiły się od mrozu i uciechy. Na długo w pamięci zostanie wspomnienie tych zakopiańskich, wyiskrzonych zapust.

Współczesna góralszczyzna: „Małe piwo"



W. BRUMER

Polscy aktorzy w roli Shyloka



Kazimierz Kamiński w roli Shyloka
Fot. Sztyblewski

Obecne przedstawienie „Kupca Weneckiego" w Teatrze Polskim przywodzi na myśl korowód polskich Shyloków, bądź to widzianych poprzednio, bądź też przekazanych przez historję aktorstwa polskiego.

Rzecz dziwna: pierwszym Polakiem, który zasłynął w roli Shyloka, był żyd z pochodzenia, który sukcesy w „Kupcu Weneckim" odnosił nie w Polsce, lecz w Niemczech. Bogumił Dawizon, aktor lwowski, wyemigrował w 1847 roku do Niemiec, by tam stanąć wkrótce w rzędzie najświetniejszych aktorów świata.

W interpretacji Dawizona nie był Shylok zwykłym, podłym lichwiarzem. Dawizon podniósł Shyloka na wyżyny heroicznego charakteru. Przedewszystkiem podkreślił on nienawiść, tkwiącą w tej postaci. Krytyk z roku 1856 nazwał Shyloka Dawizona „bohaterem nienawiści". Dawizon uznał w Shyloku postać bohaterską i ustosunkował się doń objektywnie, podkreślając cechy *mściwości*, zrazu drzemiące a potem rozbudzone wskutek ucieczki Jessyki.

Dawizon, traktując dramatycznie postać Shyloka, poszedł po linji wskazanej przez Keana, który — jak stwierdził Heine — „grał go jako bohatera", podczas gdy dawniej podchodzono do tej postaci raczej od strony charakterystycznej.

Nieco inaczej pojął rolę Shyloka Jan Królikowski. Zarzucano temu wielkiemu tragikowi, że za mało okazał zapalczywości, ale zato wzruszał on widownię *cierpieniem*.

Uszlachetnienie postaci Shyloka było dla Królikowskiego nader charakterystyczne. Zawsze dążył on do usprawiedliwiania czynów występnych, złych i przewrotnych i starał się temu usprawiedliwianiu nadać artystyczny wyraz. To też i w Shyloku widział on przedewszystkiem człowieka, którego okoliczności pchnęły na drogę nienawiści.

Tak samo *człowiekiem* i przedewszystkiem człowiekiem był Shylok Kamińskiego. Wiadomo, że ten nieporównany analityk teatralny każdą kwestję roli rozbijał na drobne atomy, by zbudować z nich potem artystyczną całość. Stąd pewien chłód, który wiał z mistrzowskich kreacyj Kamińskiego. Jeżeli jednak chodzi o Shyloka, to chłód ten raczej maskował wewnętrzną gorączkę, która trawiła nieszczęśliwego człowieka. Shylok Kamińskiego był kiedyś może i szczęśliwy... Żyła wtedy jego Lea... Strój Shyloka — rzecz ciekawa — nosił u Kamińskiego ślady *minionej* świetności. Dzisiaj nie dba on już o strój, twarz, wskutek trosk, zorana jest bruzdami, głos jakby przygaszony.

Na chciwość Shyloka nie kładł Kamiński nacisku — nie jest on ani na chwilę molierowskim Harpagonem. I ma to uzasadnienie później, w scenie sądu, gdy konsekwentnie dąży do zmiażdżenia Antonja, nie chcąc żadnej rekompensaty pieniężnej. Shylok Kamińskiego mścił się, dyszał nienawiścią — ale tę nienawiść powodowało własne cierpienie. Nawet gdy był bliski tryumfu — cierpiał. Kamiński te dwa elementy: cierpienie i tryumf skojarzył w przedziwny, wysoce dramatyczny a przytem bardzo dyskretny sposób... Nie miotał się po scenie, był skupiony, — kreacja tragiczna w wielkim stylu.

Bohaterem w miniaturze był Shylok Jaracza. Jeżeli zgodzimy się z tem, że Shylok nie jest wcieleniem zbiorowego cierpienia i zbiorowej nienawiści, a „Kupiec Wenecki" jest dramatem jednostki — kreację Jaracza uznamy za wybitną. W przeciwnym razie staje się ta postać dziwnie pomniejszona. Jego Shylok był w pierwszych odsłonach targującym się faktorem. W mowie z Tubalem zanadto zwracał Jaracz uwagę na charakterystyczne cechy żyda, za mało na tkwiący w kontrastach tej sceny tragizm. Ale ból wyrażał dosadnie. Kapitalna była scena, w któ-

Stefan Jaracz
Fot. Brzozowski



rej odkrył ucieczkę Jessyki: wściekłość i cierpienie malowały się nietylko na jego twarzy, ale wstrząsały całem ciałem. Niepotrzebnie może w zakończeniu tej sceny wybiegł aż na widownię. Ale grozę wywołał. W scenie sądu nie podkreślał już mściwości — lecz cierpienie. Ale było to cierpienie jednostkowe, cierpienie biednego, zawiedzionego pachciarza.

Zupełnie odmiennie pojmuje tę rolę obecny jej odtwórca, Junosza-Stępowski. Stwarza raczej postać godnego patrycjusza, który z obywatelami weneckimi rozmawia jak równy z równymi. Nienawiść wyraża w sposób spokojny, umiarkowany. W każdym geście, w każdem odezwaniu się jest Shylok Junoszy - Stępowskiego przedewszystkiem wielkim panem. Gdy spotyka go cios — ucieczka córki — rozpacza, ale ta rozpacz go nie złamie. Unika gwałtownych ruchów i gwałtownych słów.

W scenie sądu — podobnie jak Królikowski i Kamiński a w przeciwieństwie do Jaracza — ostrzenie noża schodzi u Junoszy na ostatni plan. Ale głos jego, dotąd jakby matowy, staje się mocny, zdecydowany. Domaga się sprawiedliwości — jest pewny zwycięstwa. Chce i musi postawić na swojem. Choćby nawet za cenę straty pieniędzy. Bo taka jest jego wola — wielkiego pana w szatach lichwiarza z Wenecji.

Jak widzimy, dość znaczne są różnice w traktowaniu tej postaci przez artystów naszych. Ta różnorodność świadczy wymownie o rozlicznych możliwościach, tkwiących w tej popisowej roli.



Fot. St. Brzozowski *Kazimierz Junosza-Stępowski*

Ewa Bandrowska-Turska w roli „Lakmé"



Występy p. Ewy Bandrowskiej w Operze

Po kilkoletniej przerwie, — w czasie której p. Bandrowska występowała z dużym sukcesem na scenach i estradach zagranicznych — ukazała się w Operze stołecznej.

Znakomita artystka na pierwszych dwóch przedstawieniach odtwarzała tytułowe partje „Traviaty" i „Lakmé". Zarówno śpiew, jak i sztuka aktorska p. Bandrowskiej wywołały entuzjazm wśród wielbicieli pięknych głosów i poważnej gry scenicznej. Przebywanie na obcych terenach artystycznych wysubtelniło jeszcze bardziej kunszt p. Bandrowskiej.

Opierając się na gruncie niezawodnie działającego mechanizmu wokalnego, śpiewaczka ze swobodą i rozmachem artystycznym realizuje swe partje, nadaje im właściwą charakterystykę muzyczną.

Wszystko w interpretacji p. Bandrowskiej ma wyraźną plastykę. Skala ekspresji jest rozległa: od wdzięku i liryzmu sięga do tragizmu i namiętności. Całość kreacji owiana jest nastrojem poezji.

(L. B.)



Uroczystość otwarcia Domów Zarobkowych im. Staszyca, z udziałem wiceprezydenta miasta, p. T. Szpotańskiego

Wschód – kolebka współczesnej cywilizacji



Acropolis

Wycieczki na Wschód porównać można z cudowną bajką, kryje on bowiem w sobie tyle tajemnic odrębnego zupełnie życia tamtejszych mieszkańców, ich swoistej sztuki i starej kultury, że zgłębić i całkowicie poznać go mało kto dotąd potrafił. Tej odrębności Wschodu przypisać należy może fakt, że choćbyśmy dziesiątki razy przejechali go tam i z powrotem, urokowi jego nigdy oprzeć się nie zdołamy.

Uliczki zalane słońcem, pogrążone w ciszy, wielkie bazary tętniące gwarem i życiem, stanowiące świat sam w sobie, jedyne w swoim rodzaju muzea i stare grobowce, wreszcie niesłychanie ciekawe świątynie i opustoszałe klasztory.

Przez wieki całe ziemia ta była terenem walk i rządów przeróżnych narodów i ras, z których to czasów po dziś dzień pozostały cenne i ciekawe pamiątki.

Podróż na Wschód porównać można przeto z żywą księgą historji kultury świata, gdyż cywilizacja współczesna tu przecież posiada swoją kolebkę.

Od kilku miesięcy nastąpiło ogromne ułatwienie w odbywaniu podróży na Wschód, znanego dotychczas tylko nielicznym polskim podróżnikom i małej garstce zamożnych pielgrzymów, zdążających do Ziemi Świętej. Bowiem Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe po ugruntowaniu przed czteroma laty stałej komunikacji między Polską a Kanadą i Stanami Zjednoczonemi Am. Półn. uruchomiło przed kilkoma miesiącami komunikację na nowym szlaku w kierunku południowym, najbardziej w Polsce dotychczas zaniedbanym i niedocenionym. Towarzystwo skierowało największy swój okręt „Polonja" na wody morza Czarnego i Śródziemnego, który regularnie co dwa tygodnie pływa po trasie Konstanza — Konstantynopol — Jaffa — Haifa — Pireus — Konstantynopol — Konstanza.

Zamiast tułać się na obcych okrętach, zdani na łaskę i niełaskę ludzi obcych mową i zwyczajami, polscy turyści i pielgrzymi, udający się do Ziemi Świętej posiadają obecnie do swojej dyspozycji wygodne i komfortowo urządzone kabiny, polską kuchnię i polską obsługę na statku, nie mówiąc już o serdecznej towarzyskiej atmosferze, panującej w czasie podróży na okrętach Towarzystwa.

TYDZIEN ŚWIATA

Rekonstrukcje angielskie

(—) Rządy Mac-Donald'a — premjera bez stronnictwa, wodza cudzych większości — odznaczają się umiejętnością rekonstrukcyjną. Mac-Donald, wiodąc rząd konserwatywno-liberalny, okraszony dymisjonowanymi laburzystami, od czasu do czasu zmuszony był do zmieniania garnituru ministrów. Stary taktyk parlamentarny, niezależnie od swych skłonności do brodzenia w polityce zagranicznej po marzycielskim świecie księżyca, w polityce wewnętrznej potrafi być realistą. Z chwilą, gdy dostrzeże, że ten lub inny minister staje się niepopularny, umiejętnie wchodzi z nim w konflikt lub sprzeczność, zyskuje na popularności — a ministra się pozbywa.

Ostatnio rząd Mac - Donalda otrzymał jakby ostrzeżenie: większość jego zazwyczaj niedaleka 400 głosów spadła do 50, w sprawie pozornie mniej ważnej — a mianowicie zapomóg przyznawanych dzieciom bezrobotnych.

Powszechnie sądzono, iż do października — do wielkiej debaty indyjskiej — rząd ma spokój i opozycja żywszej walki mu nie wyda. Jednak na tle tego głosowania mówiono przez tydzień o rekonstrukcji gabinetowej. Wyznaczonym na pierwszego „do utrącenia" jest sir John Simon, minister spraw zagranicznych. Rozdźwięk między nim a premjerem znany jest już od dawna, ostatnio jednak stosunki zaogniły się. Simon stawał się coraz mniej popularny. Jedni mu zarzucają, iż nadmiernie wciąga Anglję w politykę kontynentu. Drudzy oskarżają go o zbyt wiele sympatji dla tez polityki francuskiej. Trzeci wreszcie widzą w nim krótkowidza, zbyt pobłażliwego wobec nieustępliwości rozbrojeniowej niemieckiej. Izba Lordów zaś nie kryje swego niezadowolenia ze zbyt rzadkich kontaktów z ministrem tak wiele podróżującym.

Doszło do tego, że „Times" od szeregu tygodni prowadzi systematyczną i coraz bezwzględniejszą krytykę Simona.

Ostatnio zaś miał miejsce incydent, który jest więcej niż znamienny. John Simon przemawiał na mityngu w Glasgow. Ku zdumieniu zebranych nie mówił jednak o rozbrojeniu, Lidze Narodów, Paktach i swej polityce — ale o tra-

dycyjnym liberalizmie i wolnościach angielskich, rozprawiając się energicznie z aspirantami do dyktatury i zwolennikami sir Oswald'a Mosley'a.

To wystąpienie dało pretekst prasie angielskiej do ironicznych uwag, iż minister spraw zagranicznych nie jest na właściwem miejscu, bo okazuje się, iż jego istotne zamiłowania, to kierowanie sprawami wewnętrznemi. Dziś więc zdaje się, że los sir John Simon'a jest przesądzony.

Jest to podobno kwestja najbliższych dwuch miesięcy. Według obecnych przewidywań miałby on zająć miejsce prezydenta Izby Lordów, gdyż obecny lord-kanclerz zdecydowany jest usunąć się w zacisze życia prywatnego. Wśród kandydatów na spadkobierców Simon'a wymienia się obecnie w Londynie trzech, posiadających jakoby największe szanse. Są to min. Eden, kandydat konserwatystów, lord Hailsham — obecny min. wojny, oraz obecny minister oświaty lord Halifax, popierany przez MacDonalda. Są to narazie plany i możliwości. Wśród nich istnieje jeszcze jedna. Wyraża ją lewe skrzydło konserwatystów, domagające się odejścia... Mac-Donalda.

Rzym — Wiedeń — Budapeszt — konferują

(—) Włoski wiceminister spraw zagranicznych Suvich odbył trzy podróże, które dużo dały do mówienia prasie całego świata. Po pobycie w Berlinie i Wiedniu zawitał do Budapesztu, gdzie prowadził rozmowy z Goemboes'em i innymi ministrami węgierskimi, poczem znów „zajechał" do Wiednia.

Wizyty te i rozmowy idą po linji polityki włoskiej, zmierzającej do utworzenia na Bałkanach kontrwagi Małej Entencie. Wizyta ostatnia dążyła do zacieśnienia stosunków ekonomicznych między Włochami, Węgrami i Austrją. Organizacja ekonomiczna państw naddunajskich i niezależność Austrji, to dla Włoch dziś dwie niemal najważniejsze kwestje dnia.

Nic dziwnego, że na tem tle zarysowały się już nawet pierwsze tarcia między Rzymem a Berlinem. Tarcia, które żywy oddźwięk znalazły w prasie faszystowskiej i hitlerowskiej.

Epilogiem podróży Suvich'a ma być zapowiedziana w Rzymie konferencja: Mussolini — Goemboes — Dollfus. Na ten temat ze strony włoskiej już obecnie padają oficjalne zapewnienia, że rozmowy w celu uregulowania zagadnienia naddunajskiego są zgodne z wnioskami konferencji w Strezie. Podkreśla się również, że w rozmowach rzymskich zagadnienia ekonomiczne tych trzech państw prowadzone będą na podstawie *wzajemnego przenikania* z wykluczeniem możliwości ograniczenia czyjejkolwiek niezależności. Prasa włoska podnosi również, że spotkanie to nie ma na celu ustalania polityki przeciw komukolwiek.

Pod tym względem znamiennym jest głos rzymskiego „Messaggero", który pisze: „Austrja i Węgry, których niepodległość uważana jest w Rzymie jako fundamentalne zagadnienie równowagi europejskiej — zdają sobie doskonale sprawę, że wzmocnienie ich stosunków ekonomicznych z Włochami może wywołać tylko efekt pożądany i przynieść poważne wzajemne korzyści. Podczas najbliższego spotkania w Rzymie zagadnienia dotyczące ściślej współpracy będą pogłębione, a sposoby najlepszego zrealizowania tej współpracy zostaną przestudjowane".

Kolce bez róż

(—) Prasa hiszpańska powiewem lodowatych określeń powitała nowy rząd premjera Lerroux.

„El Sol" — republikański dziennik centrowy — opinjuje w tonie sarkastycznego zniecierpliwienia: „sytuacja wraca do punktu, w jakim była przed słynnem zgromadzeniem stronnictwa radykalnego", a „El Liberal" dodaje: „nikt nie może być zadowolony z takiego rozwiązania kryzysu". Te uwagi podpiera od strony lewej „El Socialista", pisząc: „można było uniknąć kryzysu bez zmieniania sytuacji; wskutek stworzenia i takiego rozwiązania kryzysu — sytuacja musi uledz pogorszeniu". Niemal jednomyślna z socjalistami jest umiarkowanie republikańska „Ahora" — podkreślając, że „wrażenie ogólne jest, iż skład nowego rządu nie upoważnia do zbytniego optymizmu". Katolicy zaś ludowcy agrarni w swym „El Debate" wymagają od rządu, aby „czuwał nad porządkiem publicznym, zagrodził drogę rozważaniom rewolucyjnym i aby wreszcie opracował projekt budżetu, któryby rozwiązał dręczące położenie bezrobotnych".

Jak widzimy z tych głosów, nowego rządu Hiszpanji nie powitano różami, w każdym razie kwiaty starannie oskubano. Premjer Lerroux po raz trzeci staje do rządu z naręczą... kolców.

Nowy prezydent Warszawy



Marjan Zyndram-Kościałkowski

W tym tygodniu rządy prezydenckie w stolicy objął wojewoda Marjan Zyndram - Kościałkowski. Już parę tygodni temu, na wiadomość o możliwości nominacji wojewody białostockiego na stanowisko prezydenta Warszawy, podkreśliliśmy wszystkie walory moralne i intelektualne zapowiadanego ówczas gospodarza stolicy. Dziś, kiedy nowego prezydenta cechy rzemieślnicze, współpracownicy, władze i obywatele witają ze szczerą radością — możemy tylko przyłączyć się do wyrażanych mu życzeń.

Znamy energję i owocną pracę, jaką wykazywał się dotąd zawsze, a ostatnio na swej placówce białostockiej wojewoda Kościałkowski. Wierzymy, że i w Warszawie nie zabraknie mu energji i zdrowej inicjatywy. A końcowe zdanie jego przemówienia wyraźnie charakteryzuje tendencje nowego prezydenta:

„Pragnąłbym, aby ten zapał zjednoczył całą ludność Warszawy w twórczej współpracy z władzami miejskiemi. Chwilowo ludność Warszawy nie ma swego przedstawicielstwa w postaci Rady Miejskiej. Będę się starał wszelkiemi sposobami, by tego nie odczuła. Będę się bowiem starał o najżywszy z nią kontakt".

Prezydent Zyndram-Kościałkowski wszędzie, gdzie dotychczas sprawował swe obowiązki, wykazywał się zdolnościami organizacyjnemi.

Dziś wziął on na siebie wielkie obowiązki i odpowiedzialność, wziął je witany ufnością i sympatją ogólną. Odczuwa on to doskonale, skoro oświadcza: „byłbym szczęśliwy, gdybym opuszczając stanowisko tymczasowego prezydenta miasta, zasłużył sobie na te słowa uznania, które wyraziliście mi dzisiaj w pięknym adresie, odczytanym przez prezesa Antoniego Mencla".



Marja Przybyłko-Potocka, Samborski i Biegański walczą o miljony w Teatrze Małym
Fot. St. Brzozowski

TEATR MAŁY

„Miljonowy interes" Charlesa Bennetta

Warto czasem posłuchać, co o sztuce myśli publiczność. Na premjerze „Miljonowego interesu" zdania były podzielone: ci widzowie, którzy na interesach się znają, twierdzili, że sztuka jest głupia. Ci zaś, którzy się nie znają — że jest obrzydliwa.

Prawda leży może pośrodku.

Nie ulega wątpliwości, że sposób przeprowadzania wielkich machinacji finansowych, jaki nam zademonstrował angielski pisarz, jest conajmniej naiwny.

Rekin-aferzysta nie zwykł ustępować przed fikcyjnym detektywem, ani przed pustą kopertą z napisem „Scotland Yard". A organizacja biura wielkiego finansisty, któremu niezwykle ważną konferencję przerywa co chwila dzwoniący telefon — (od czego sekretarze w przyległym pokoju?) — oraz nieoczekiwany system anonsowania interesantów przez *maszynistkę* — wzbudza wesołość na sali.

Sztuka posiada jedną tylko zaletę, kapitalną: gra w niej Marja Przybyłko-Potocka, — i gra mistrzowsko. Dość bladą rolę kury domowej — (od której los chwilowo wymaga walorów tęgiego finansisty) — walczącej instynktem i sprytem przeciwko podstępowi i szantażowi — rozszerza pani Przybyłko do wielostronnej indywidualności, dając nam olśniewające błyski cierpienia tej kobiety, jako żony, matki, i pozwalając nam się domyślać, że pani Mortimer swą mądrość życiową wyładowuje tylko w braku innego terenu — w tortach, skarpetkach i kłótniach z praczką. Całej tej głębszej strony charakteru bohaterka nie otrzymała jednak od autora — otrzymała ją wyłącznie od pani Przybyłko, która stoczyła walkę nietylko o miljony męża, ale i o powodzenie sztuki. I obie walki wygrała.

Sztukę wyreżyserował starannie Warnecki. Ola Leszczyńska z antypatycznej roli rozpróżniaczonej pannicy, którą wzrusza jedynie myśl o stracie majątku, nie mogła wydobyć nic więcej, jak wdzięk nonszalanckiej snobinetki. Dobrze odtworzyli swe role Samborski, Biegański, Warnecki, poprawnie reszta zespołu.

Z. N. Ch.

TEATR NOWY

„Tak, a nie inaczej" Marjusza Maszyńskiego

Kiedy się tak zdarzy, że sprawozdawca teatralny — zamiast na premjerze jest na 25-em (wcale dobrze zapełnionem przedstawieniu komedji, to może pisać raczej o jej recenzentach, niż o autorze. Zresztą trudno to rozdzielić, ale recenzenci mogą być czasem świetnym repoussoirem dla autora.

Mam wrażenie, iż ustawienie lunet recenzyjnych wyrządziło Maszyńskiemu, jako autorowi, krzywdę. W stosunku do sztuki, w której nikt nikogo nie ograbia, nikt nikomu na scenie nie włazi do łóżka. Gdzie szantażyści nie walczą między sobą; gdzie nawet włóczęga bez grosza na widok słońca i czaru kobiecego pięknieje; gdzie fantazja autora wspiera się o optymizm i o romantyczność, gdzie tekst i umyślna optymistyczna naiwność nie odtwarza tego *co jest* w życiu, co dziś jest aktualne, żywe, codzienne, gdzie, jednem słowem, wszystko jest rodzajem bajki dla dorosłych — że stawianie podobnej komedji wymagań realizmu jest więcej niż niesłuszne i nieusprawiedliwione. A jednak najwytrawniejsi, najwnikliwsi sprawozdawcy poszli po tej linji. Mówiono, że *to* jest nieprawdopodobne, a *tamto* nierealne!

A czyż o to chodziło w sztuce? Czyż realny jest taki dyrektor teatru, co od włóczęgi przyjmuje

Maszyński i Lubieńska przeżywają romantyczną miłość w Teatrze Nowym



Fot. J. Malarski

odrazu sztukę, odrazu poznaje jej wartość i odrazu daje grubszą zaliczkę? Czy realna jest taka artystka, co włóczędze daje za wierszyk 100 złotych? Czy realny jest taki głodny włóczęga, co te 100 zł. oddaje kwestarkom?

Nie. To wszystko jest nierealne. Postokroć nierealne w życiu dzisiejszem, kiedy na całym świecie, dla chamstwa uczuć giną kryterja i zanika odpowiedzialność. Ale właśnie to, że te wszystkie typy czy ich czyny nie są zgodne z realnością — *to* stanowi właśnie wartość sztuki Maszyńskiego.

Komedja ta sprzeczna z rzeczywistością a owiana optymizmem winna mieć takie powodzenie, jak rekordowy „Świt, dzień i noc". Sięga ona do tych skrytek wrażliwości, które istotnie czasem graniczą z sentymentalizmem, ale tym sentymentalizmem dobrej próby, co wierzy jeszcze, że obdarty poeta, bez wygrania na loterji, bez bezwzględnych łokci i usłużnej reklamy — przyjdzie i zwycięży dzięki talentowi!

„Bajka" Maszyńskiego — nazwijmy to bajką — nie każe, jak to widzimy w „realnych" sztukach zagranicznych autorów, importowanych na sceny nasze, chwytać się za gardła Pochroniom finansjery, i wobec tego istotnie jest nierealna. Ale skoro o tamtych „utworach" czytamy mniej lub więcej „łaskawe" oceny, to musimy z przykrością stwierdzić, że tym razem *autorowi polskiemu* wyrządzono w wielu wypadkach krzywdę.

Autorowi polskiemu — i to *piszącemu po polsku*. Tak jest, bo to specjalnie wypada zaznaczyć, komedja Maszyńskiego napisana jest literacko po polsku. Nie roi się od „wszaków", nie ułatwia sobie stylu gwarą potoczną... a realną. Jest dobrą, optymistyczną fantazją autora, który gdyby miał „wygodę" nazywania się Sacha Guitry, nie byłby sprowadzany przed rampę dla chłosty.

O grze artystów można powiedzieć ogólnie, że jest bardzo dobra, żywa, sharmonizowana. Romantyzm autora potrafił rozgrzać p. Lubieńską, której musiałem zarzucać dotąd chłód i obojętność w stosunku do swych postaci. W sztuce Maszyńskiego miała liryzm szczery, żywość a chwilami i wesołość wręcz bezpośrednią. Autor-aktor opanował niektóre niepokojące czasem tendencje do szarży — był opanowany, szczery w swem fantazjowaniu, w pierwszym akcie miał akcenty głębokie i doskonałe.

L. Ch.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od redakcji

P. Irenie K. z Zambrowa. Tłustość lub suchość cery zależy od stanu gruczołów łojowych rozmieszczonych w skórze. Pewna ilość tłuszczu jest konieczna dla utrzymania elastyczności skóry oraz dla uchronienia jej przed spierzchnięciem i nadmiernem wysychaniem. Przy cerze suchej, jaką ma Pani, wskazane jest specjalnie wcierać na noc Krem Odżywczy (Crème nutritive-Antiba) który przenika w głąb skóry, odżywia naskórek, a przez to nadaje cerze świeżość i gładkość.

P. Janowi Berskiemu z Lipowca. Tworzenie się kamienia nazębnego i zapalny stan dziąseł bezwzględnie spowodowane zostało niedostatecznem pielęgnowaniem jamy ustnej. Musi Pan jaknajszybciej odwiedzić dentystę, czyścić skrupulatnie dwa razy dziennie zęby pastą Dentosan, która ma własności usuwania kamienia nazębnego. Pożądane jest również jaknajczęstsze płokanie jamy ustnej zwłaszcza po jedzeniu letnią wodą z 20 kroplami eliksiru Dentosan, znakomicie wzmacniającego dziąsła.

„Ciekawej" ze Lwowa. Przy cerze normalnej, aby zapobiec rozszerzaniu się porów, dodatnio wpłynie na skórę oraz jej oczyszczenie wcieranie watką płynu Tonic astrigent marki Antiba.

ANEGDOTY TEATRALNE

Najbardziej popularnem w całej Polsce impresarjem jest mieszkaniec Kalisza, znany w sferach teatralnych pod przezwiskiem „Gzyms".

Ma ambicję, aby najtrudniejsze do ściągnięcia na prowincję gwiazdy sceny i estrady występowały pod jego egidą.

Zorganizował kiedyś koncert w rodzinnem swojem mieście, przyczem przypadkowo zaangażował samych artystów „ciężkiej wagi". Zwiózł więc ów „Gzyms" do Kalisza: Jana Janusza (jako deklamatora), znakomitego pianistę Karola Szustra i tenora opery warszawskiej, Stanisława Gruszczyńskiego. Oprowadzał ich z tryumfem po ulicach miasta, gdy wtem podbiegł do niego jakiś sztubak i pyta:

— Panie Gzyms, kiedy się zaczną walki?

W Teatrze Wielka Operetka cieszy się powodzeniem komedja muzyczna „Pod białym koniem". Niemirzanka i Ruszkowski w komicznej scenie



Z ŻYCIA KUJAW

Nieszawa. Kościół Św. Stanisława na Przypuście

Stalle w kościele Ś-tej Jadwigi

Nieszawa, kolebka wielkiego artysty

Nieszawa nad Wisłą, to miejsce urodzenia Stanisława Noakowskiego.

Tuż przy farze stoi biała, niby dworek polski, plebanja. W niej to urodził się 26 marca 1867 r. Stanisław Noakowski, ten, którego Tadeusz Pruszkowski nazwał „malarzem zakochanym do szaleństwa w architekturze". Tutaj bujna zawsze wyobraźnia tego człowieka chłonęła dla siebie tematy.

Dzieckiem jeszcze będąc rysował na skrawkach papieru farę św. Jadwigi i kościołek św. Stanisława na Przypuście. O tem swojem ukochaniu Nieszawy i jej kościołów mówi w listach do dawnego proboszcza, ks. kan. Kazubińskiego: „Lubię, pisze, bez granic kościół szanowny nasz parafjalny, związany fundacją swą odwieczną z przesławną pamięcią Jagiełły i Jadwigi. Lubię go specjalnie, bo w cieniu jego się urodziłem i dziesięć lat dzieciństwa spędziłem. Lubię go za jego piękno cudowne. Lubię za te wrażenia podniosłe, a bez liku, jakiemi kościół ten mnie karmił, a które dziś jeszcze są dla mnie źródłem pociechy i radości... Niech Nieszawa trwa cała tak piękna, jak była zawsze, długie, długie wieki... roztacza swe piękno na pociechę przyszłych pokoleń..." „Sam osobiście, — pisze w drugim liście, — mam szczególną sympatję dla mojego kochanego miasta rodzinnego, w plebanji którego się urodziłem i na cmentarzu którego leżą moi rodzice".

Dumną może być Nieszawa, że takiego wielkiego wydała poetę architektury. Pamiętał o niej po latach wielu wędrówki swojej po szerokim świecie.

W r. 1928 jako profesor Politechniki warszawskiej pragnie przybyć do swego rodzinnego gniazda na uroczystości 500-lecia fary św. Jadwigi i tłumaczy się w liście, że choroba, która go od kilku dni nawiedziła, uniemożliwia mu przybycie do Nieszawy i choć zdaleka łączy się ze wszystkimi Nieszawiakami w oddaniu hołdu i czci tej ukochanej świątyni.

Jestem obecnie opiekunem tego miejsca. Pragnąłbym z Nieszawy stworzyć cel wycieczek dla tych, co się w sztuce Stanisława Noakowskiego rozkochali i na niej kształcili.

Pragniemy jeszcze tej jesieni urządzić tygodniową wystawę jego arcydzieł, by spopularyzować tę przebogatą twórczość genjalnego syna Nieszawy wśród jej mieszkańców i całych Kujaw.

Stąd więc, gdzie się urodził Stanisław Noakowski, idzie wezwanie do całego społeczeństwa stolicy, Łowicza i Włocławka: — uczcijcie pamięć tego, który twórczością swoją stanął w szeregach najwybitniejszych synów Polski.

X. W. Kneblewski

ANEGDOTA TEATRALNA

Znany komik teatru „Nowości" w Warszawie, Krzewiński, miał trzyletnią córeczkę, Jasię.

W tym wieku dziewczynkę po raz pierwszy matka jej wzięła do teatru, aby zobaczyła ojca na scenie.

Przez cały akt „Czardaszki" Jasia siedziała spokojnie na kolanach matki, wodząc oczami za ojcem, który grał starego, siwego księcia. Olga Orleńska w roli Czardaszki miała na sobie balową suknię z trenem, na końcu którego ciągnął się po dywanie chwaścik z paciorków.

Krzewiński zrobił gierkę, że jako krótkowzroczny, nie rozróżnia, co to za przedmiot wala się po podłodze i schował chwaścik do kieszeni.

Tu mała Jasia już nie wytrzymała i głośno wrzasnęła: „Niech tata to w tej chwili wyjmie!" Cała sala, scena i orkiestra wybuchła długo nie milknącym śmiechem.

RODZICE I SZKOŁA

Zbliżenie szkoły do życia

Już dawno nie pisało się i nie mówiło u nas tyle o szkole, co w roku bieżącym. Nic dziwnego: jest to pierwszy rok wejścia w życie nowej ustawy o ustroju szkolnictwa, pierwszy rok realizacji nowych programów. Zarówno nauczyciele, jak i rodzice odczuwają potrzebę rozważania i komentowania nowo stworzonych podstaw życia szkolnego i zorjentowania się w jego tendencjach.

Wśród zagadnień związanych z reformą nauczania i wychowania najważniejsze miejsce zajmuje kwestja zbliżenia szkoły do życia. Dawny historyczny i formalny charakter nauczania zmienia się wybitnie pod wpływem praktycznych potrzeb naszej epoki. T. zw. wykształcenie ogólne, które było dawniej podbudową i pionem kultury jednostki, ustępuje na drugi plan wobec zwycięstwa wykształcenia zawodowego. Z tego faktu wypływa: 1) zmiana ustroju szkolnego, polegająca na uszczupleniu liczby gimnazjów, na korzyść rozbudowy szkolnictwa powszechnego i zawodowego, 2) zmiana programów w kierunku nastawienia gospodarczego, zwłaszcza w zakresie szkoły powszechnej.

Dziecko w szkole powszechnej ma poznawać przedewszystkiem swe najbliższe otoczenie, zarówno społeczne, jak przyrodnicze, ma uczyć się obserwować pracę, szanować zawody, stykać się z życiem społecznem, słowem, orjentować się w warunkach swego życia i środowiska. Gdy więc np. dawniej, urządzając z dziećmi wycieczki po mieście, pokazywało się im przedewszystkiem stary kościół, klasztor lub zamek, to dzisiaj prowadzi się dzieci najpierw do P. K. O., na pocztę, do piekarni, lub do warsztatu szewca. Wprawdzie jeszcze w tym roku widziałam w zeszycie uczenicy trzeciego oddziału w wiosce śląskiej wypracowanie p. t. „Czem się żywili Tatarzy", jednak temat taki był niewątpliwie objawem szczątkowym.

Wszystko, co się u nas dziś w szkolnictwie robi, pozostaje w związku z wielkim prądem, przebiegającym pedagogikę na szerokim świecie. Jest nim właśnie zbliżenie szkoły do życia. Zaczęło się ono dokonywać na wielką skalę najpierw w Ameryce, która pierwsza przeprowadziła daleko idącą specjalizację szkół, czyli to, co można nazwać uzawodownieniem wykształcenia. Rosja Sowiecka prowadzi tę pracę konsekwentnie dalej. Proces ten ogarnia również Niemcy. Szkoła sowiecka znajduje się przeważnie przy fabryce. Młodzież pracuje przy maszynie i warsztacie, a potem przechodzi do sali szkolnej, gdzie otrzymuje wyjaśnienia naukowe i dowiaduje się o podstawach teoretycznych danej techniki. Taka symbjoza warsztatu i szkoły daje podobno doskonałe rezultaty, nietylko tam, gdzie państwo jest jednocześnie jedynym gospodarzem i wychowawcą, ale i u nas, gdzie dziecko wiejskie pracuje latem i jesienią w polu, a w ciągu zimy i wiosny pogłębia wiadomości o tej pracy w szkole.

W ten sposób staje się szkoła istotnie przygotowaniem do życia. Przez życie praktyczne zaś współczesnego człowieka należy rozumieć przedewszystkiem pracę zawodową oraz obowiązki obywatelskie. Dlatego szkoła dzisiejsza pragnie dać młodzieży wykształcenie zawodowe i uświadomienie społeczne. Pierwszy z tych celów stara się osiągnąć na drodze nastawienia ekonomicznego programów, drugi — za pomocą zespołowej organizacji pracy szkolnej i uspołecznienia życia szkolnego (samorządy, współpraca szkoły z szeregiem instytucyj społecznych i t. d.).

Coraz dalej idąca, nie wszędzie wolna od skrajności dążność tak pojętego zbliżenia szkoły do życia świadczy o tem, że w poglądach na rolę wychowania zwycięża materjalistyczne ujęcie świata. Uświadomienie sobie tego głębokiego przeobrażenia pedagogiki niepokoi świat nauczycielski. Jednym z przejawów tego zaniepokojenia był wygłoszony dnia 27 lutego w T. N. S. W. odczyt prof. Nawroczyńskiego p. t. „Szkoła a życie".

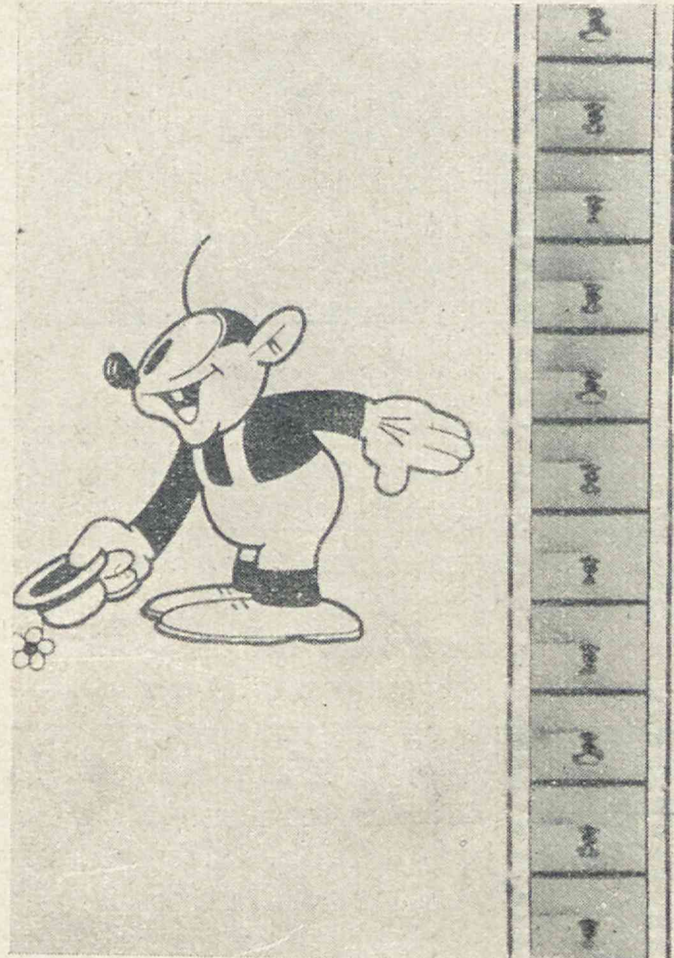
Prelegent, scharakteryzowawszy nowe prądy w dzisiejszem szkolnictwie, przeciwstawił kulturę materjalną kulturze duchowej. Ta ostatnia była głównym celem dawnej szkoły, poczynając od średniowiecza. Idealistyczne nastawienie stało się przyczyną odsunięcia się szkoły od życia, które nie mogło sprostać jej wymaganiom. Dziś idziemy inną drogą. Czy jednak kultura materjalna będzie się mogła obejść bez kultury duchowej? Czy technika, pozbawiona badań czysto naukowych, będzie się mogła nadal rozwijać? Czy produkcja, nie poparta zmysłem estetycznym, będzie znajdowała rynki zbytu? I czy życie polityczne, pozbawione wiedzy etycznej i podstaw socjologicznych, będzie moralne i twórcze?

W dyskusji, która wywiązała się po odczycie, ujawnił się pewien, nieśmiały zresztą, zwrot od nastawienia gospodarczego nowych programów ku dawnym celom wychowania: wiedza ma nietylko doprowadzać do umiejętności, ale kształcić umysł i duszę.

Nasuwa się nam jednak uwaga, że sprawy tej nie można rozstrzygać z punktu widzenia czysto teoretycznego. Życie dzisiejsze bowiem z ogromem i tragizmem swych praktycznych konieczności pcha szkołę od jej idealistycznych ogólnokształcących źródeł ku celom czysto utylitarnym. Nastawienie praktyczne młodzieży jest istotną przyczyną reformy programów i ustroju szkolnictwa. Szkoła musi podążać za wymaganiami rzeczywistości, jeśli nie chce zawisnąć w próżni. Nie mamy dziś wyboru pomiędzy materjalistycznym a idealistycznym poglądem na świat w pedagogice. Nauczyciele wiedzą o tem najlepiej. Nie wystarcza, że ma się do dyspozycji przymus szkolny. Chcemy jeszcze, by młodzież słuchała nas z ciekawości, a nie z przymusu. A na to jest tylko jedna rada: mówić zajmująco o zajmujących rzeczach. Zajmujące zaś w tych ciężkich czasach jest dla szerokiego ogółu przedewszystkiem to, co pożyteczne. Zdaje nam się, że w tem tkwi tryumf tendencji gospodarczej i zawodowej dzisiejszego szkolnictwa i na to niema żadnego sposobu. Przynajmniej na razie.

S. K. B.

JAK SIĘ NARODZIŁA MICKEY-MOUSE?



Pewnego jesiennego dnia, kiedy drobny kapuśniaczek zmywał szyby, pewien młody człowiek, nawiasem mówiąc malarz, powrócił z kina. Zapaliwszy fajkę, usiadł przed oknem i ogarnęła go czarna rozpacz. Choć szczery entuzjasta filmu, a może właśnie dlatego, nie mógł już patrzeć na miłosne tragedje, erotyczne sielanki, dramaty historyczne, będące najczęściej zaprzeczeniem historji i na kryminalno-awanturnicze obrazy, urągające zasadom logiki i prawom przyrody.

Młody człowiek, powróciwszy właśnie z takiego mniej więcej filmu, zastanawiał się, jak odmłodzić tę przedwcześnie starzejącą się sztukę. Machinalnie wziął do ręki stary szkicownik, w którym, kiedyś, przed kilku laty zanotował karykaturę myszy. Nagle zabłysnęły mu oczy. Chwycił papier, pióro i zaczął rysować. Ciężki, jesienny świt zastał go przy tej gorączkowej pracy.

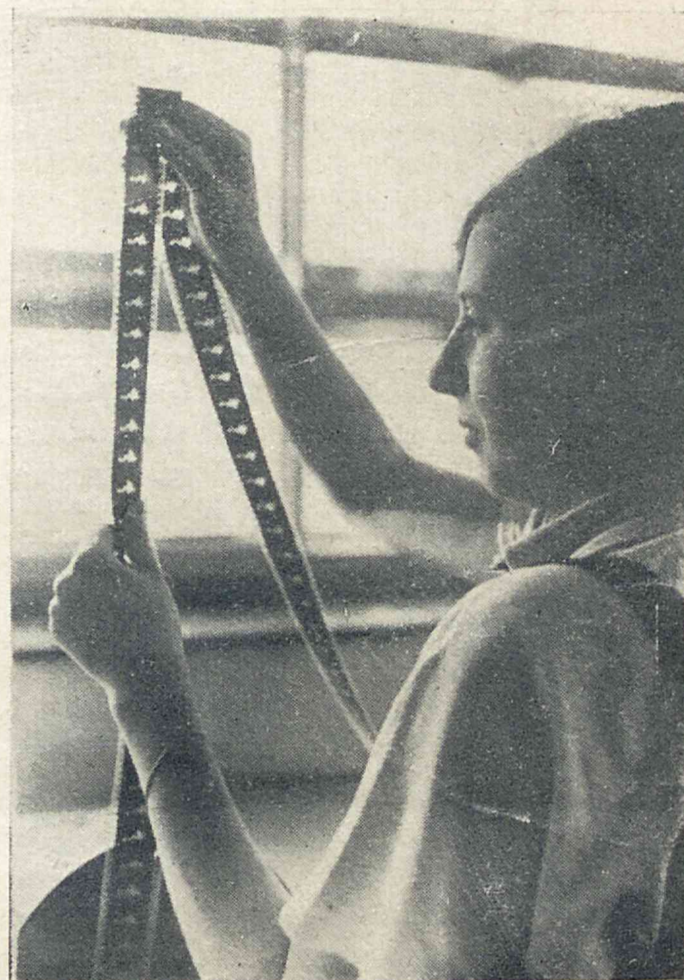
Świt ten był zarazem godziną narodzin najrozkoszniejszego figla filmowego, arcydzieła, któremu niebyło dotychczas równego. Powstał film groteskowy ze słynną Mickey Mouse, wkrótce zawojował on cały świat, stał się najmilszym dodatkiem do każdego programu, najczęściej przewyższającym go pod względem pomysłowości, artystycznej brawury i żywiołowego humoru.

Nieznany malarz z Kansas City, młody Walt Disney stał się osobistością poszukiwaną przez wytwórców, człowiekiem, który w historji kinematografji zyskał nieśmiertelność. Na czem polega genjalność jego rysunkowych grotesek? Na bezczelnym humorze i nie liczącej się z żadnemi względami parodji. Tematu bowiem do przygód Mickey-Mouse dostarczały przedewszystkiem najgłośniejsze filmy, t. zw. „superszlagery" sezonowe, które Disney karykaturował bezlitośnie, pokazywał we wklęsłej soczewce, doprowadzając błazeństwo do wyżyn arcydzieła. Wkrótce znalazł szereg naśladowców, wśród których do najzdolniejszych należą bracia Fleischerowie. Pomysł, rzucony przezeń na papier w chwili znudzenia „normalnym filmem", zamienił się w oddzielną i coraz piękniej rozwijającą się gałąź sztuki ekranowej.

Mickey-Mouse, wraz z liczną rodziną bliższych i dalszych krewnych, stała się niepodzielną i jedyną w swoim rodzaju władczynią wielomiljonowych poddanych, bez względu na kolor skóry, wyznanie i przekonania polityczne. Zawojowała przedewszystkiem serca dzieci i tej zdobyczy nikt już jej nie odbierze. Przemijali amanci i wampirzyce, rodziły się i gasły rozmaite gwiazdy — a film rysunek-groteska zdobywa coraz więcej zwolenników i rozwija się wspaniale, znalazłszy potężnego sprzymierzeńca w dźwięku.

Bawiąc się serdecznie na rysunkowych groteskach, żałujemy niezmiernie, że są one tak krótkie. Nieraz ma się ochotę krzyczeć na całe gardło: — Jeszcze!... jeszcze!... Tymczasem zaledwie garstka wtajemniczonych wie, ile mrówczej pracy potrzeba dla stworzenia taśmy, przesuwającej się przed oczami widza w ciągu zaledwie pięciu do sześciu minut.

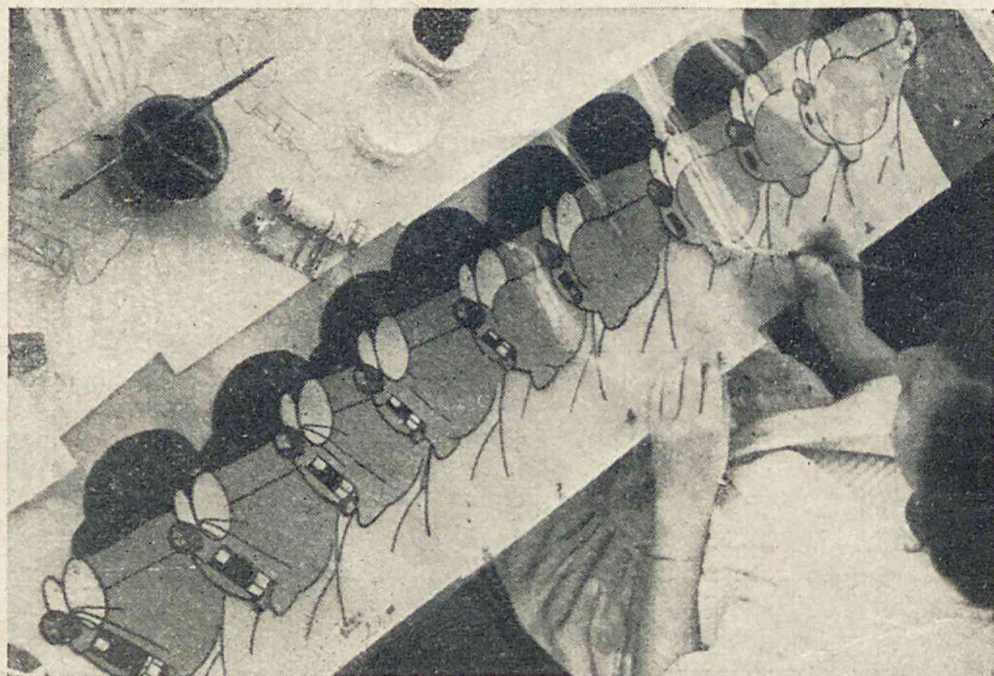
Dla zmontowania groteski przeciętnie 200 m. długości — trzeba wykonać, ni mniej ni więcej, tylko —10.000 rysunków! Każdy, najprostszy nawet ruch, jak naprzykład otwarcie drzwi, podzielony jest zasadniczo na dziewięć okresów. Jest to zresztą skala najmniejsza, pokazanie bowiem na ekranie niektórych ruchów wymaga nieraz aż 32 okresów, przesuwających się przed naszemi oczami w ciągu jednej sekundy.



Sprawdzanie taśmy



Rysowanie

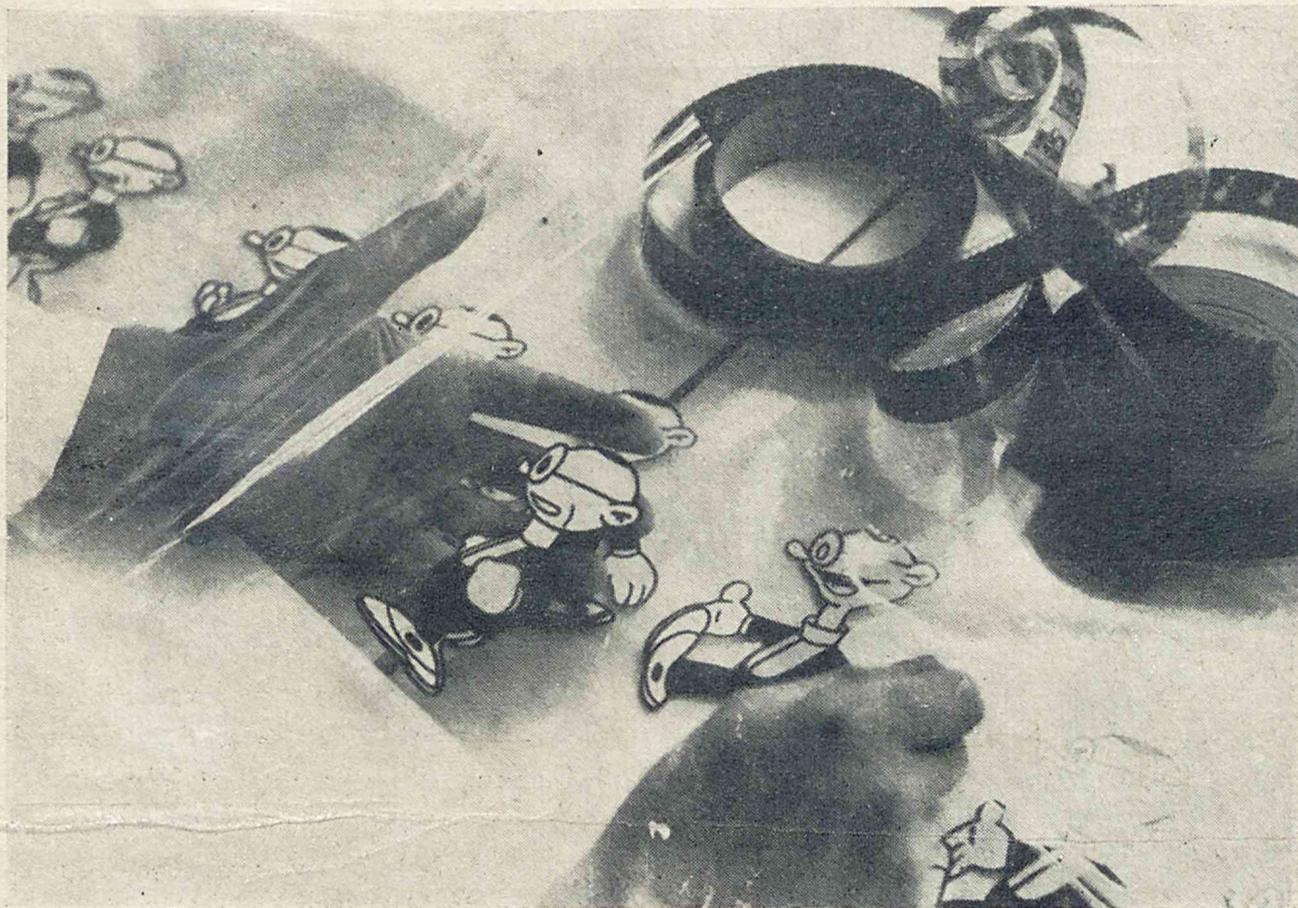


Rysowanie setek figurek



Kontrola rysunków

Rzecz prosta, że wszystkich tych rysunków nie wykonuje sam twórca groteski. Gdyby tak było, czekalibyśmy na każdy nowy obrazek po kilka lat, a jego autor znalazłby się znacznie prędzej w zakładzie dla obłąkanych. On robi tylko rysunek, przedstawiający pierwszą i ostatnią fazę ruchu, resztę zaś dorabiają asystenci, przeprowadzając konsekwentnie całą ewolucję, ściśle dostosowaną naturalnie do szybkości obrotu taśmy i wyliczoną niemal do setnych części sekundy. Mimo, że nad groteską pracuje kilkanaście osób, potrzeba około miesiąca czasu na jej wykończenie. Na jeden metr taśmy wypada średnio 52 rysunki, a 21 obrazków na jeden takt melodji.



Praca pomocników jest bardzo ciężka i monotonna. Ludzie ci, godzinami całemi siedząc przy rajsbretach, rysują jedno i to samo: jakieś drzewo, odcinek drogi, wnętrze kuchni lub zarysy chmur. Aby uprościć sobie pracę, nie na wszystkich rysunkach umieszcza się figurki bohaterów. Zaznacza się je tylko tam, gdzie akcja wymaga już nowego ruchu. Podczas filmowania zastępuje się je celuloidowemi manekinami, odpowiednio poruszanemi ręką.

Przenoszenie rysunków na taśmę filmową odbywa się zapomocą przepuszczania ich przez specjalnego rodzaju nożną dźwignię, umieszczoną przed objektywem. Z chwilą, gdy film przesunie się o centymetr, zdjęcie automatycznie się wyłącza i operator podkłada następną fazę ruchu. Powtarza się to kilkaset, a nawet kilka tysięcy razy dziennie, aż wreszcie po tygodniach mozołu i niesłychanej cierpliwości groteska jest wykończona i, przeszedłszy przez szereg manipulacji w laboratorjum, idzie bawić i rozśmieszać miljony widzów.

Te napozór bardzo proste filmy są jednakże ogromnie kosztowne. Przeciętna, dwustumetrowa groteska pochłania wcale pokaźną sumkę 25.000 dolarów. Powodzenie, jakiem się cieszą, opłaca nie tylko całkowicie ich produkcję, lecz przynosi ponadto wytwórni około dwustu procent czystego zysku, dają więc takie dochody, jak rzadko który film.

W ostatnich latach twórcy filmu groteskowego, Walt Disney'owi, znudził się już czarny tusz i biały karton i po kilku miesiącach prób stworzył on film kolorowy, o przepysznej skali barw i odcieni, otrzymywanych przez kombinację dwóch podstawowych kolorów. Tego rodzaju przepyszne arcydziełko p. t. „Święty Mikołaj" podziwialiśmy w jednem z kin warszawskich, jak również jeszcze większą nową rewelację z tej dziedziny, opartą już na trzech kolorach. Była to groteska p. t. „Trzy małe świnki".

Filmy rysunkowe, czyli popularnie zwane kreskówki cieszą się niesłychanem powodzeniem na całym świecie, a przedewszystkiem w ojczyźnie ich autora. W samym Nowym Jorku wyświetlano je w pewnym okresie w 400 kinematografach. Zdawałoby się, że wobec takich sukcesów zarobki Disney'a wyrażają się w jakichś astronomicznych cyfrach. Tymczasem zarabia on, jako wynalazca i kierownik specjalnego studjo, zatrudniającego blisko dwustu rysowników, literatów, muzyków i operatorów, zaledwie kilkaset dolarów tygodniowo.

Nie zaręcza się i nie rozwodzi po kilka razy rocznie, jak wielkie gwiazdy filmowe, nie kolekcjonuje klejnotów i lasek i nie ma żadnych absolutnie namiętności poza kreskówkami. Stworzywszy rodzinę Mickey-Mouse, obecnie zajęty jest innemi bohaterkami i przyszłemi ulubienicami całego świata.

j. s. w.

„Sztuka życia" w kinie „Światowid"

(k-i) Doprawdy nielada sztuka tak ułożyć sobie życie. Z kwiatka na kwiatek, jak motylek i tym motylkiem jest... ona! Zawikłana historja, zawarta w trójkącie miłosnym, który przeradza się nawet, na pewien czas, w czworobok, by powrócić znowu, po różnych perypetjach, do figury zasadniczej: trójkąta.

Na szczycie tej „geometrji" figuruje Miriam Hopkins, podstawę tworzą Gary Cooper i Fredric March.

I te właśnie nazwiska są największym walorem filmu, który mógłby znużyć przydługiemi djalogami i scenami „zerkającemi" na teatr.

Mistrzowska ręka Lubicza z wdziękiem przeprowadziła całą czwórkę przez wszystkie ich przygody miłosne i mimo drastycznych nieco sytuacji nie zboczyła na niewłaściwe tory.

Parę scen doskonałych, jak djalog pijacki porzuconych amantów, historja kwiatka, ofiarowanego pannie młodej i in.

Film napewno będzie miał powodzenie, zwłaszcza u przedstawicielek płci pięknej, które pozazdroszczą Miriam Hopkins jej sztuki życia i uroczych partnerów.

Bodo w filmie „Pieśniarz Warszawy"



Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Pamięci Jana Gnoińskiego

W dniu 28 lutego b. r. zakończył życie ś. p. Jan Gnoiński. W sobotę dnia 3 b. m. oddaliśmy ostatnią posługę śmiertelnym szczątkom Jego.

Odszedł żegnany żalem serdecznym wszystkich, którzy Go znali; niepospolitemi zaletami swego umysłu i charakteru zaskarbił sobie bowiem szacunek wszystkich, a wielu Go czciło i kochało.



Ś. p. Jan Gnoiński

Piastując odpowiedzialne stanowisko na niwie pracy państwowej (był naczelnikiem Wydziału Rozjemstwa i Ruchu Zawodowego w Ministerstwie Opieki Społecznej, oraz stałym przewodniczącym nadzwyczajnych komisyj rozjemczych dla ustalenia warunków pracy w rolnictwie), zjednał sobie uznanie tak powszechne, iż w ogniu najgorętszych antagonizmów społecznych Jego objektywizm i poczucie sprawiedliwości stwarzały żelazny kapitał zaufania u wszystkich zainteresowanych stron. W pracy swej umiał kojarzyć w sposób podziwu godny gorące umiłowanie idei ze zrozumieniem twardych konieczności życiowych, pozostając zawsze dalekim od oportunizmu i kompromisów ze światopoglądem społecznym, któremu hołdował. Świat pracy stracił w Nim jednego ze swych najszlachetniejszych i najgorętszych obrońców; z ogromną siłą przekonania zwalczał On tendencje zmierzające do utrącenia zdobyczy społecznych warstw pracujących, a jak dużo w tym kierunku zdziałał — o tem wiedzą wszyscy, interesujący się aktualnemi zagadnieniami ruchu społecznego w kraju.

W pracę, której się oddawał, wkładał cały zasób swego bogatego umysłu, rozległej wiedzy i gorącego serca. Był w stosunku do siebie bardzo surowy i wymagający, względem innych niezmiernie wyrozumiały i dobry; to też nigdy nie potępiał, a dla każdego znajdował słowa obrony i usprawiedliwienia. Należał do tych niewielu wybranych, którzy bezpośrednią prawdą swego życia i swych czynów oddziaływują w sposób przemożny na otoczenie, stając się wychowawcami swego pokolenia.

Jako pracownik na niwie państwowej i społecznej dawał zawsze ze siebie więcej, niż był ku temu obowiązany. Nieliczne chwile, wolne od przyjętych na siebie a dobrowolnie nieraz pomnażanych obowiązków publicznych, poświęcał bezinteresownie pracy w spółdzielniach koleżeńskich, kasach samopomocy i t. p. Skromny nad wyraz i unikający wszelkiego rozgłosu nie dążył do zaszczytów i nie dbał o osobiste korzyści; nie było natomiast pracy najbardziej niewdzięcznej, którejby się nie podjął, jeżeli w niej widział korzyść dla społeczeństwa.

Imię tego rycerza idei, jakim był ś. p. Jan Gnoiński, pozostanie nazawsze symbolem najwyższych cnót człowieka i obywatela.

S. J.

Ś. p. dr. med. Ryszard Biehler

Ś. p. Dr. medycyny Ryszard Biehler urodził się w Warszawie, dn. 2 kwietnia 1851 roku. Po ukończeniu Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego w 1875 r. i odbyciu studjów zagranicą, zamieszkał od 1877 r. w Kurlandji w Bausku, gdzie po zjednaniu sobie olbrzymiej praktyki, został powołany na stanowisko naczelnego lekarza szpitala miejskiego, wiceprezydenta miasta oraz przewodniczącego Komitetu sanitarnego. Bolejąc głęboko nad losem ludzi, dotkniętych trądem, wypowiedział nieubłaganą walkę tej strasznej chorobie, zakładając szereg trądowisk. Za wybitną pracę na tem polu został uczczony wieloma odznakami honorowemi oraz nagrodzony różnemi wysokiemi orderami. Po powrocie do kraju w 1918 r. poświęca się pracy społecznej, jest lekarzem Rady Głównej Opiekuńczej, burs Polsko - Amerykańskiego Komitetu pomocy dzieciom i Prezesem Domu Sierot pod wezwaniem św. Heleny. Za prace na polu społecznem w Odrodzonej Polsce Zmarły lekarz otrzymał Złoty Krzyż Zasługi.



Ś. p. Dr. medycyny Ryszard Biehler

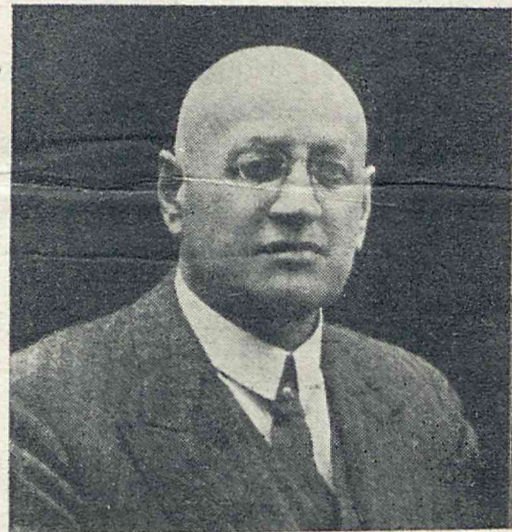
Uczynny, zawsze pogodny, był prawdziwym aniołem opiekuńczym młodocianych wychowanków burs i zakładów dla sierot.

Dokonał Swego pracowitego i pożytecznego żywota dn. 24 lutego 1934 r.

Cześć Jego świetlanej pamięci.

Ś. p. Mieczysław Reczko

Dnia 25 lutego r. b. śmierć nieubłagana przerwała nieoczekiwanie pasmo żywota godnego obywatela kraju, ś. p. Mieczysława Reczko, ostatnio Dyrektora Tow. Ubez. „Piast", a poprzednio Dyrektora i kierownika licznych towarzystw ubezpieczeniowych. Zmarły całe swe życie poświęcał idei przychodzenia z pomocą bliźnim. Powstanie całego szeregu schronisk, przytulisk i domów zarobkowych jest Jego niezaprzeczoną zasługą. Rzesze upośledzonych i zagrożonych ostateczną niedolą znalazły zapewnienie dachu nad głową i ratunek przed śmiercią głodową. Ś. p. Mieczysław Reczko, będąc zupełnie obcym wszelkim dążeniom do uzyskania rozgłosu i pragnieniom specjalnych wyróżnień, nie dążył do honorów i zaszczytów, stojąc na stanowisku, że zupełne oddanie się przez Niego pracy samarytańsko-społecznej płynie z potrzeb Jego duszy i serca i że uczucie zadowolenia ze spełnionych godnie obowiązków stanowi najwyższą nagrodę.



Ś. p. Mieczysław Reczko

Zeszedł cicho zostawiając wśród licznych rzesz ból tak wielki i szczery jak wielką i szczerą była Jego miłość dla bliźnich i Jego dla nich praca.

Cześć pamięci cichego Samarytanina.

Ś. p. Marja z Bobkowskich Mierzejewska



Ś. p. Marja z Bobkowskich Mierzejewska, zmarła w dniu 2 marca b. r. w wieku lat 71. Osierociła 5 synów i córkę. Pochowana na Powązkach w dniu 6 marca 1934 r. Cześć Jej pamięci.

Radjowy program rolniczy

Dn. 9.III. w piątek, o godz. 17.50 — „Nowiny leśne" prof. Jan Kloska.

Dn. 10.III. w sobotę, o godz. 17.50 — „Przegląd rolniczej prasy zagranicznej i krajowej". (Transmisja z Wilna).

W programie rolniczym na niedzielę, dn. 11 marca r. b. znajdą słuchacze 2 ciekawe pogadanki.

O godz. 14.00 nadana zostanie pogadanka popularnego pszczelarza p. Kazimierza Bajorka p. t. „Wiosna w pasiece". Z chwilą nastania cieplejszych dni wiosennych, podobnie jak wszystko, budzi się do życia i pracy „naród pszczeli".

O godz. 14.15 omówiona zostanie przez p. Stanisława Prus-Wiśniewskiego sytuacja na rynkach produktów rolnych.

O godz. 15.00 prof. Stefan Biedrzycki, ulubiony gawędziarz, w pogadance p. t. „Kiedy słonko przygrzeje"... przypomni słuchaczom o najpilniejszych pracach w polu i gospodarstwie.

W tygodniu program radjowy zawiera następujące audycje dla rolników:

Poniedziałek, 12.III. o godz. 17.50 „Skrzynka rolnicza".

Wtorek, 13.III. o godz. 17.50 „Bieżące wiadomości rolnicze".

Środa, 14.III. o godz. 17.50 „Skrzynka rolnicza".

Czwartek, 15.III. o godz. 17.50 „Książka rolnicza, przegląd wydawnictw".

„PIEŚNIARZ WARSZAWY" — PRZED MIKROFONEM

Eugenjusz Bodo, który kreuje główną rolę w nowym filmie polskim p. t. „Pieśniarz Warszawy", da się słyszeć radjosłuchaczom w dn. 9.III. o godz. 15.40; oczywiście znajdą się m. inn. i piosenki z tego wesołego filmu, oraz z operetki „Pod Białym Koniem".

FILHARMONJA

Polskie Radjo dn. 9 marca o godz. 20.15 z sali Filharmonji Warszawskiej transmituje program koncertu muzyki francuskiej. Jako solista wystąpi p. Zbigniew Drzewiecki — dyrekcja spoczywać będzie w rękach Emila Coopera.

*

„Zagadnienie krytyki literackiej" — w przerwie koncertu symfonicznego z Filharmonji Warszawskiej omówi przez radjo dr. Emil Breiter.

„TE 4"

Sobotni koncert wieczorny muzyki lekkiej o godz. 20.00 urozmaicony będzie występem doskonałego zespołu wokalnego „Te 4". Część orkiestrową koncertu prowadzić będzie kapelmistrz Bronisław Szulc.

PROFESOR KOTARBIŃSKI PRZED MIKROFONEM

Drugi zkolei odczyt prof. Kotarbińskiego w radjo w dn. 13.III. o godz. 18.00 z cyklu „O celach dążeń ludzkich" podejmuje tym razem zagadnienie „Zwycięstwa".

TRANSMISJA ZE SCALI MEDJOLAŃSKIEJ

W dn. 15 marca o godz. 21.00 popłyną na falach polskich dźwięki wspaniałych audycyj medjolańskich. Po operach i oratorjum nadany będzie zkolei wieczór, poświęcony twórczości wielkiego mistrza muzyki religijnej XVI stulecia, G. Palestriny, dzięki któremu muzyka kościelna odzyskała swą prostotę, czystość i wzniosłość.

Wykonawcą tego jedynego w swoim rodzaju koncertu będzie Chór i Orkiestra Opery Medjolańskiej pod dyr. V. Veneziani.

„LOPEK I... KROPKA!"

Niezastąpiony i zawsze niezawodny w swym humorze i dowcipie Kazimierz Krukowski zapowiedział swoją wizytę przed mikrofonem na dzień 16.III. o godz. 16.55. W programie kilka piosenek z dawniejszego repertuaru i kilka nowych niespodzianek.

Anegdoty teatralne

Niewiarowska, stryjenka znanej Kazimiery Niewiarowskiej, śpiewaczki operetkowej, a sama — doskonała komedjowa aktorka w teatrze „Rozmaitości" — przemówiła się ze swą rówieśnicą o to, że tamta miała się o niej wyrazić, iż na starość traci pamięć.

— Ja tracę pamięć?! — zawołała do niej — ja, która do tej chwili mogę ci wymienić w porządku chronologicznym wszystkich twoich kochanków!

I tu wystąpiła z dokładną listą nazwisk męskich, których cyfra była istotnie imponująca.

* * *

Rufin Morozowicz, świetny aktor operetkowy, miał zwyczaj nie rozstawać się nigdy z parasolem. Mówiono nawet, że Remigjusz Kwiatkowski od Morozowicza wziął tytuł do tomiku swych wierszy p. t. „Parasol noś i przy pogodzie".

Ktoś zaczepił kiedyś Morozowicza, pytając go, dlaczego ma parasol, kiedy pogoda jest prześliczna i nic nie zwiastuje zmiany.

— Drogi panie — odrzekł aktor — gdyby w okresie potopu było więcej tak przezornych, jak ja, nietylko Noe by się uratował.

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA"

dostarczająca wycinki z interesującemi jej abonentów artykułami i wiadomościami, — ma i mieć powinna doniosłe znaczenie społeczno - kulturalne. Współpraca jej ułatwia znakomicie orjentowanie się w panujących nastrojach i stosunkach w zakresie każdej sprawy.

I. P. P. umożliwia każdemu regularne i stopniowe gromadzenie całokształtu materjału, jaki podaje w artykułach i wiadomościach prasa w zakresie każdej sprawy i orjentowanie się szybkie w tym materjale. Pozatem wycinki — to praktyczne archiwum informacyjne w biurze każdego polityka, działacza społecznego, publicysty, przemysłowca i kupca, artysty i naukowca.

I. P. P. Warszawa, ul. Bracka Nr. 5 (tel. 9-41-53).

Świat książki

Ukazał się szereg popularnych prac z zakresu ogrodownictwa i zielarstwa, nakładem Stow. Pracowników Księgarskich. (Warszawa, Krak. Przedm. 38). Tematy bardzo na czasie, omówienie ich fachowe i treściwe, wydanie staranne — czynią z tych niewielkich książeczek cenne podręczniki dla miłośników roślin.

J. Łebkowski. Ogródki kwiatowe. Praktyczne wskazówki dla posiadaczy małych ogródków. Warszawa, 1934. Str. 69 i 8 planów. Zł. 1.80.

Aby dobrać barwy, wysokość roślin, czas kwitnienia i stworzyć z tego piękną dekorację naszego małego parku, czy ogródka, trzeba mieć doświadczenie.

Tego właśnie uczy praca p. J. Łebkowskiego. Daje cenne i praktyczne wskazówki (poparte planami i rysunkami), jakie kwiaty, kiedy i gdzie rozmieszczać.

Jankowski E. Prof. Przeszczepianie drzew owocowych. Z 5 rys. Warszawa, 1934. Str. 29. Zł. 1.50.

Zdarza się często, że zadużo mamy w sadzie drzew z owocami wczesnemi, albo niektóre odmiany nie udają się na naszej glebie z tych lub owych powodów, albo też wskutek mrozów giną — wtedy, jeśli pnie są zdrowe i niezbyt stare, możemy je uszlachetnić przez przeszczepienie. Nie są to zbyt trudne rzeczy i jeśli tylko uważnie wczytamy się w rady i wskazówki, które daje nam zasłużony nestor naszego ogrodnictwa, wybitny pomolog — to niejedne braki owocostanu w naszym sadzie możemy łatwo i z korzyścią dla siebie usunąć.

Mag. J. Biegański. Hodowla ziół lekarskich. Warszawa, 1934. Wyd. V. Str. 288. Zł. 5.—.

Najmłodszą i najmniej znaną rolnikom gałęzią produkcji rolnej u nas jest hodowla ziół aptekarskich, zdawiendawna za granicą szeroko stosowana i w wielu okolicach będąca źródłem zamożności mieszkańców. U nas szeroki ogół przywykł patrzeć na dochodowość, osiąganą z ziół, na zasadzie groszowych zakupów mięty, rumianku, szałwji lub mydliku, a nie wie i nie przypuszcza, że jedna fabryka Schimla pod Lipskiem sprowadzała przed wojną rocznie 30.000 pudów kminku z Rosji. Państwowy Zakład Doświadcz.-rolniczy w Kisielnicy (pod Łomżą) stwierdza możliwości otrzymania przeciętnie z morgi: Kolendru 750 kg. po zł. —.60 za 1 kg. Szalwji lekarskiej 740 kg. po zł. 1.— za 1 kg. jeżeli dodamy, iż z powodu podniesienia ceł na zioła sprowadzane z zagranicy wzrośnie i cena, płacona hodowcom, to każdy rolnik zrozumie, jaka świetna przyszłość leży w uprawie roślin lekarskich na szeroką skalę. Książka mag. Biegańskiego daje naszym hodowcom możność zdobycia nowych źródeł dochodowości z ziemi.

S. Brzozowski. Winogrona — Brzoskwinie — Morele. Warszawa, wyd. II. Str. 40. Zł. 1.50.

Popularna książeczka o hodowli, możliwej i w naszych warunkach, szczególniej gdy chodzi o morele i brzoskwinie, które przy użyciu łatwych w zastosowaniu ochron udają się znakomicie i są artykułem wielce dochodowym.

KOMUNIKAT

Staraniem zespołu redakcyjnego tyg. „Państwo Pracy" odbędzie się w Warszawie dnia 10 marca 1934 r. w sali Tow. Higjenicznego — ul. Karowa 31 — wielka impreza poetycka p. n. Wieczór Najazdu Poezji Awangardowej.

Protektorat nad wieczorem objął p. Juljusz Kaden-Bandrowski, który wypowie słowo wstępne.

Udział biorą: Konrad Bielski, Jan Brzękowski, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, Marjan Czuchnowski, Henryk Domiński, Jalu Kurek, Józef Maśliński, Bronisław Michalski, Czesław Miłosz, Stanisław Piętak, Juljan Przyboś, Jerzy Putrament, Józef Łobodowski, Adam Ważyk, Jerzy Zagórski.

Recytują prócz autorów: Marja Wiercińska, Jerzy Ronard Bujnicki i Henryk Ładosz. Całkowity dochód z imprezy przeznacza się na stypendja dla młodych poetów. Początek o godz. 6-tej ppoł. Wstęp na salę za kartami wstępu, które otrzymać można po złożeniu ofiary na stypendjum — od 1 zł. wzwyż — w lokalu „Państwa Pracy" — Al. Jerozolimskie 31 m. 15 — codziennie w godz. od 12-tej do 1-ej, i od 6-tej do 7-mej w. — oraz przy wejściu na salę w dniu wieczoru.

Tradycja a kosmetyka

Od czasu do czasu słyszy się na rynku kosmetycznym o nowych środkach kosmetycznych, jak: pudry, kremy i t. d.

Choć niektóre z tych artykułów stoją na wysokości zadania, to jednak moda na nie szybko mija i ludzie o nich wnet zapominają.

Są jednak w sprzedaży pudry i kremy o utrwalonej reputacji. Taką starą tradycją od niepamiętnych czasów cieszą się wyroby francuskie, znane na całym świecie, marki Roger & Gallet.

Czy będą to pudry o ślicznym, subtelnym zapachu, czy doskonałe kremy, bądź pomady do włosów, to doprawdy nie mają sobie równych i znajdują ogromne uznanie u znawców i amatorów prawdziwie dobrej, renomowanej, niczem nie zastąpionej kosmetyki.

SS.



Rozrywki Umysłowe

Nagrody przyznane następującym naszym Czytelnikom

za trafne rozwiązanie wszystkich zadań z „Wielkiego Konkursu Świątecznego", oraz za największą ilość punktów, zdobytych w ostatnim kwartale ub. roku.

Brenek Zenon: Wacław Lipiński „Szlakiem I Brygady".
Glaszmidt Leon: prenumerata kwartalna „Świata".
Kowalska Jagna: prenumerata kwartalna „Świata".
Kozłowski N. K.: Prof. A. V. Hill „Żywe maszynerje".
Lewandowska Cecylja: Bernhardt Kellermann „Droga bogów".
Lilpop Kazimierz: Krasiński „Pisma wybrane".
Sawicki Wiktor: prenumerata kwartalna „Świata".
Strubel Marja: wieczna ondulacja w zakładzie fryzjerskim p. f. „As".
Tietz Zygmunt: Kazimierz Chłędowski „Siena".
Wiśniewski Franciszek: Juljan Talko-Hryncewicz „Z przeżytych dni".
Żak Romuald: Mieczysław Lepecki „Podróż do Egiptu".

№ 23 (313) SZARADA

Ułożył N. K. Kozłowski

(Za rozwiązanie 7 punktów)

Uwaga mili Szaradziści! Mówię to Wam [szczerze,
Że istnieją trzy sylaby w jednej zawarte [literze,
Z których *DWIE PIERWSZE* jasno [świadczą, jakie to pasy
Nosili przodkowie nasi zbyt dawnemi [czasy;
PIERWSZA TRZECIA, to instrument, na [którym grywano —
Łatwo się domyśleć, jakie to jest jego [miano;
CZWARTA Z PIĄTĄ srogiego zwierza [wymienia,
Którego kraj nasz ledwie zna z imienia.
A że wszystkie razem łączą nas [siarczyście —
Nie zaprzeczycie szaradzistki, ani [szaradziści! —

Rozwiązanie zadań

№ 3 (293) ZADANIE KOLUMNOWE.
1. Uncja. 2. Kiper. 3. Beksa. 4. Djeta. 5. Seter. 6. Osusz. 7. Stoma. 8. Medyk. 9. Psota. 10. Śmieć. 11. Wydma. 12. Strach. 13. Penza. 14. Smrek. 15. Smycz (wstecz). 16. Szuba. 17. Beryl. 18. Gmach. 19. Zbuny. 20. Rysik. 21. Ściek. 22. Opawa (wspak). 23. Widok. 24. Żniwo. 25. Wilno (wspak). 26. Wiano. 27. Osina. 28. Ambit. 29. Wyjść. 30. Dbamy. 31. Wołyń. — „NIE JESTEŚMY TEM, CZEM BYĆ WINNIŚMY, BO JESTEŚMY TEM, CZEM BYĆ NIE POWINNIŚMY".

№ 4 (294) ELIMINATKA — OKSYMORON.
1. Sakwa. Stypa. 3. Ujma. 4. Postawa. 5. Kanapa. 6. Emil. 7. Pajac. 8. Szuja. 9. Tupet. 10. Suknie. — „WYMOWNE MILCZENIE" (Klucz: STUPAJKA).

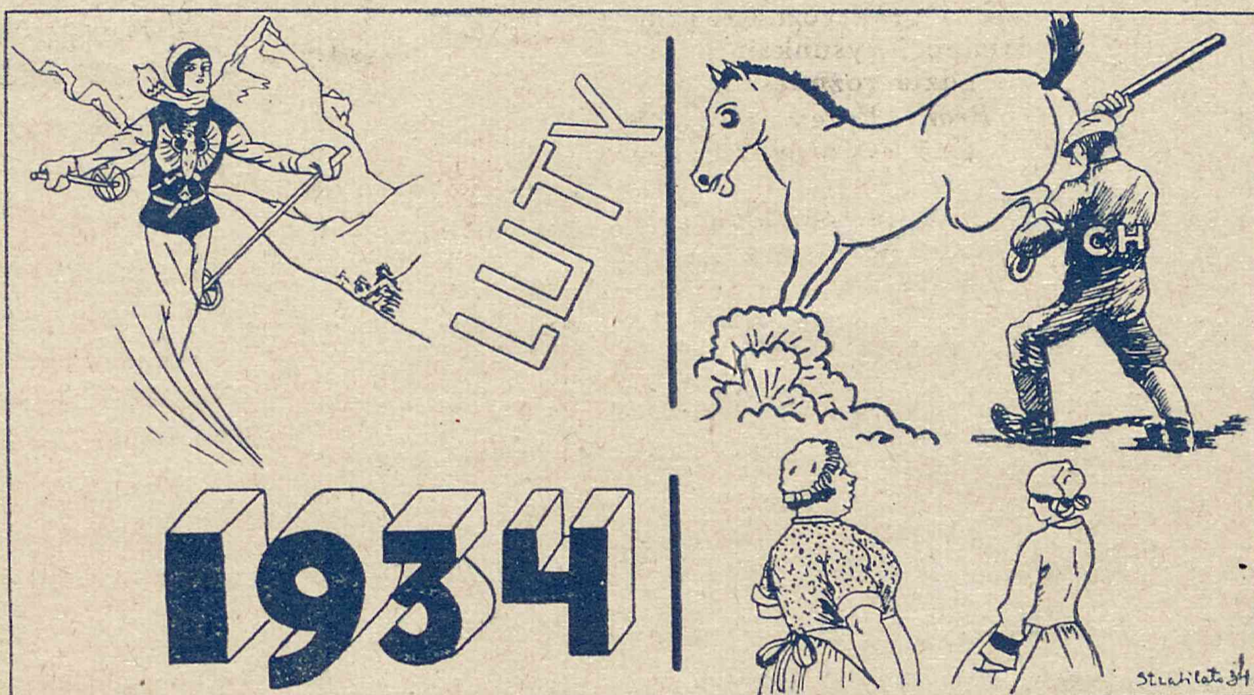
TRAFNE ROZWIĄZANIE ZADANIA 3 i 4 (ŁĄCZNA ILOŚĆ 10 PUNKTÓW) NADESŁALI:

Romuald Żak, Fr. Wiśniewski, Dorota Herbstmanówna, Jawna Kowalska, Włodzimierz Hoffmann, L. Glaszmidt, Zenon Brenek, Z. Tietz, N. K. Kozłowski, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Kazimierz Lilpop, Marja Strubel, Henryk Walewski (Lwów), Ola Borman, Janina Rowińska, Karol Waldenberg (Łódź), Stanisław Tański, Cecylja Lewandowska, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska, Feliks Siedlecki (Poznań), Tadeusz Pomianowski, Wiktor Rawicz, Antonina Solecka, Józef Zbyszewski (Kraków), Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Rudziński (Kalisz), Baśka Żulińska (Częstochowa), Józef Małecki, Władysław Stock (Pińsk), Zofja Suchecka (Radom), Jan Popławski.

№ 24 (314) REBUS

P. Zygmuntowi Tietzowi poświęca Jan Stratilato

(Za rozwiązanie 10 punktów)



Anegdota teatralna

W ogródkowym teatrzyku Warszawy miano wystawić siłami prowincjonalnemi historyczną sztukę. W małomiasteczkowej trupie zbrakło aktorów dla wielkiej obsady. Mimo obsadzania dwóch ról w niektórych wypadkach przez jedną osobę, w scenie rady wojennej musiano rolę jednego z ministrów dać do zagrania statyście, który nigdy dotychczas nie przemówił na scenie ani słowa.

— Statysta — ad hoc kreowany na artystę — był uszczęśliwiony i z dumą przystawał przy każdym afiszu, aby czytać na nim swe nazwisko. (Nie było wówczas Związku Artystów, którego regulamin zabrania umieszczania na afiszu teatralnym nazwisk, niefachowych aktorów).

Miał on, jako minister, wypowiedzieć tylko jedno zdanie, którego się doskonale napamięć nauczył.

„Ja radzę na związek z księżniczką Parmy bo w razie wojny mielibyśmy punkt oparcia".

Statysta na próbie generalnej zakończył swoją „kwestję" nieprawidłowo, powiedziawszy: „punkt oparcia *się*".

Reżyser zwrócił mu na to uwagę.

Od tej chwili powtarzał w myśli raz po raz swą miniaturową rolę, bacząc, aby nie dodać owego „się" na końcu zdania.

Gdy wszedł na scenę i uprzytomnił sobie, że cała widownia, w momencie, gdy zaczął mówić — tylko na niego ma zwróconą uwagę, dostał takiej tremy, że wszystko mu się w głowie pomieszało i rolę wyrecytował tak:

— *Ja radzę na związniczek z książeczką Parmy, bo w razie parcia mielibyśmy wojnę..."*

Dopiero po sekundzie pauzy przypomniał sobie i dodał na końcu: „się!!"

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel. Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa